



Susan Mallery



*Cudowne
ocalenie*

Tytuł oryginału: The Unexpected Millionaire



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mniej więcej o osiem sekund za późno Willow Nelson uświadomiła sobie, że jej plan miał wielką wadę.

Przyjechała do onieśmiałąco wielkiej posiadłości Todda Astona III, by wygarnąć temu obrzydliwemu łajdakowi, co myśli. Ale ponieważ nie spotkała go nigdy wcześniej, nie wiedziała, jak wygląda. Mogła go sobie tylko wyobrazić. Wysoki, przystojny, bogaty. Ale czy ma ciemne włosy i brązowe oczy? Czemu nie wpadła na to, żeby wcześniej obejrzeć jego zdjęcia, na przykład w Internecie, na stronie glupek.miesiaca.com?

Kim był jasnowłosy przystojniak stojący w drzwiach?

- Cześć - zawołała. Uśmiechnęła się do mężczyzny, który otworzył drzwi. Miała nadzieję, że nie zauważył, jak bardzo niepewnie się czuła. - Chciałabym porozmawiać z Toddem. To jego dom, prawda? Moja siostra mówiła, że on mieszka tutaj...

Niedobrze. Zabrzmiało to całkiem fatalnie.

- Moja siostra go zna - dodała. Jeszcze gorzej.

Blondyn nie cofnął się, żeby ją wpuścić do środka. Skrzyżował ramiona na szerokiej piersi. Był naprawdę duży. Muskularny. Silny. Jak jaguar. Gotowa była się założyć, że złamałby jej rękę jednym uderzeniem. Miał zielone, kocie oczy. I twarz dobrego człowieka. Był przystojny i budził zaufanie. Mógłby z niego być... Dość! W myślach przywołała się do porządku. Miała zadanie do wykonania.

- Posłuchaj - zaczęła tak stanowczo, jak tylko mogła. - Muszę porozmawiać z Toddem. Muszę zrobić znacznie więcej. Najpierw kompletnie namieszał w głowie mojej siostrze. Skończyło się na niczym, ale przecież nie musiało, prawda? Na samą myśl krew się we mnie burzy. Mam chęć zdzielić go w ten pusty łeb. To na początek.

Mężczyzna w drzwiach wysoko uniósł brwi. Potem rozchylił poły marynarki. Krew uderzyła Willow do głowy. Poczowała, że zmięknęły jej kolana.

Mężczyzna miał rewolwer.

Widziała go wyraźnie. Tkwił pod marynarką, w skórzanej kaburze. Było zupełnie jak w kinie. Tylko przerażenie, które ścisnęło jej żołądek, było prawdziwe.

- Jaka masz właściwie sprawę do pana Astona? - spytał głosem, od którego ciarki przebiegły jej po plecach.

Przynajmniej się upewniła, że to nie był Todd.

- Ja... Hm, hm...

Najrozsądniejsze co mogła zrobić, to uciec jak najszybciej. Miała przecież zamiar nawrzeszczyć na Todda, a nie dać się zastrzelić. Lecz uparty diabełek kazał jej zostać na miejscu.

- Myślę, że reagujesz nazbyt impulsywnie - powiedziała ostrożnie.

- Za to mi płacą.

- Czy szczwany lis opuścił już swoje biuro? - spytała słodkim głosikiem. - Dopadnę go tutaj.

- Nie będziesz go dopadać nigdzie. Kim jesteś i czego chcesz od pana Astona? - Wyciągnął rękę, by złapać ją za ramię.

Przez wszystkie lata w liceum Willow z zapalem kibicowała szkolnej drużynie koszykówki. Sama nie grała, bo była zbyt niska. Ale wiele umiała.

W tym momencie wróciły do niej stare umiejętności. Zrobiła ruch w lewo, schyliła się w prawo, wykonała pół obrotu i niespodziewanie znalazła się wewnątrz domu.

Zadygotała z przejęcia. Jeśli Todd tu jest, znajdę go, pomyślała stanowczo. I wygarnę mu, jak nikt dotąd.

Biegiem ruszyła szerokim korytarzem. Za plecami słyszała ciężkie kroki goniącego ją mężczyzny. Mijała wielkie pomieszczenia po suficie wypełnione dziełami sztuki. Jak w muzeum, pomyślała. Mężczyzna z pistoletem był coraz bliżej. Była prawie pewna, że nie będzie do niej strzelał... Prawie. Ale na wszelki wypadek biegła wężykiem od ściany do ściany.

- Todd! - krzyczała. - Jesteś w domu? Chodź tu do mnie. Nie masz prawa rujnować ludziom życia. To nie jest w porządku. Sam powinieneś o tym wiedzieć.

Słowa nie były może najlepiej dobrane, ale i tak powinny nastraszyć go choć trochę.

Kroki za plecami były już coraz bliżej. Ale gniew tylko dodał jej sił. Jeszcze przyspieszyła. Niestety... Znalazła się w pomieszczeniu bez wyjścia.

Strach. Rozglądała się gorączkowo. Drzwi. Okno. Rozpaczliwie szukała wyjścia. Jej wzrok padł na sięgające do samej podłogi kotary.

Zwycięstwo! Przez ogromne szklane drzwi wybiegła na duży taras, który kończył się schodami wiodącymi ku rozległym, kaskadowym ogrodom, Jak w Wersalu, pomyślała. Dalej zaczynał się las.

Czyżby Todd zapomniał, że mieszkał w środku Los Angeles?

- Stój! - usłyszała za plecami. - Zatrzymaj się albo ja będę musiał cię zatrzymać!

Ha! Jak dotąd nie udało mu się jej zatrzymać, prawda? A może zadzwonił na policję? Willow wołała nie pytać. Pomknęła w stronę drzew.

Niestety, w otwartym terenie jej prześladowca miał przewagę. Powoli zbliżał się do niej.

Rozglądała się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby go zatrzymać. Bez powodzenia. Z wolna traciła oddech. Serce waliło jej coraz mocniej. I niemal czuła na plecach dłonie ścigającego ją człowieka.

- Żywcem mnie nie weźmie - sapnęła. Aby do drzew. Tam może będzie łatwiej.

Skoczyła w bok. Wykonała kilka kroków i potknęła się o sterczący z trawy korzeń.

Wtedy kilka rzeczy zdarzyło się równocześnie. W lewej kostce poczuła przeraźliwy ból. Kątem oka dostrzegła pod drzewem coś szaro-białego i futrzastego. I poczuła, jakby czołg uderzył ją w plecy.

Upadła bez tchu. Świat zawirował dokoła niej. Przed oczami rozbłysły jej kolorowe gwiazdy.

Po chwili poczuła, że ktoś obrócił ją na plecy i kazał oddychać.

Oddychać? Nie mogła. Nie była w stanie. Och! Nie. Nie chciała umierać. Nie teraz. Nie tutaj. Nie tak.

- Oddychaj - powtarzał uparcie mężczyzna. - Nic ci nie będzie.

Skąd mógł to wiedzieć?

Willow otworzyła usta i głęboko wciągnęła powietrze. Potem znowu. I jeszcze raz. Kolorowe migotanie przed oczami ustało i w końcu mogła skupić wzrok na otoczeniu.

Rewolwerowiec stał tuż przed nią. Był bez marynarki. To dobrze, bo mogła dokładnie przyjrzeć się jego mięśniom. Robiły wrażenie. Podobnie jak doskonale już teraz widoczna broń. I już nie mogła oszukiwać samej siebie, że może to wszystko jej się przywidziało.

- Kim jesteś? - spytał. - Jakaś jego zwariowaną byłą? Zwykle znam je wszystkie, ale ciebie...

Willow uniosła się na łokciu.

- Jego byłą? - spytała zdziwiona. - Nigdy w życiu! Nie umówiłabym się na randkę z Toddem, nawet gdyby od tego zależał los planety. No, chyba że mogłabym w ten sposób ocalić kilka zagrożonych gatunków. Wszyscy przecież powinniśmy dokładać starań. Ekologia. To bardzo ważne, żeby każdy zrozumiał, że musimy przestrzegać pewnych zasad, żeby nasza planeta mogła przetrwać.

- Przerwa - powiedział, składając ręce w geście trenera proszącego o czas.

- Kim jesteś? - spytał ponownie.

- Och, przepraszam. Jestem Willow. Julie Nelson to moja siostra. Jest zaręczona z Ryanem, kuzynem Todda. Ten łobuz Todd robi wszystko, żeby im przeszkodzić. Ale ja nie zamierzam mu pozwolić. Wiem, że powinnam się pogodzić i nie wtrącać, ale nie potrafię. Wydaje mu się, że skoro jest bogaty, jest królem świata. Idiota. A ty kim jesteś?

- Kane Dennison. Jestem szefem ochrony.

- Tutaj, w posiadłości?

Twarz mu stężała, jakby go obraziła.

- We wszystkich firmach.

- No tak, oczywiście. To tłumaczy tę broń. - Usiadła i zaczęła strząsać trawę ze swetra. - Wcale nie miałam zamiaru go skrzywdzić. Spójrz tylko na mnie. Czy ja wyglądam groźnie? Czy jestem niebezpieczna?

Przechylił na bok głowę, jakby się zastanawiał nad jej słowami.

- Jesteś niska i chuda. Myślę, że nie. Niską mogła znieść... Ale chuda?

- Wypraszam sobie. Jestem drobna.

- Skoro tak twierdzisz.

- Mam swoje krągłości - rzuciła. Była zagniewana i trochę urażona. - To przez ten sweter. Jest tak obszerny, że nie możesz zobaczyć, co jest pod spodem, ale jestem bardzo seksowna.

Przynajmniej bardzo się starała. Ale przecież nie mogła pozwolić, by bezkarnie ją obrażał.

- Na pewno jesteś zdumiewająco piękna - mruknął. Nagle poczuł się niezręcznie. - Bardzo mi przykro, że tak się wściekłaś na Todda, ale nie możesz tak wpadać do czyjegoś domu z pogrózkami. Tak nie można. To jest sprzeczne z prawem.

- Naprawdę? Czyżbym złamała prawo? Aresztujesz mnie?

- Nie, jeśli odejdziesz spokojnie i nigdy nie wrócisz.

- Ale ja muszę z nim porozmawiać. Koniecznie.

Kane uśmiechnął się leciutko.

- Uważasz, że potrafisz go nastraszyć?

- Może. - Z wolna traciła zapał. - Wrócę tu jeszcze.

- Jestem pewien, że Todd będzie szczęśliwy. Masz samochód?

- Słucham? Oczywiście, że mam.

- No to chodźmy. Odjedziesz i będziemy udawali, że nic się nie stało.

To miało sens. Był jednak jeden problem. Poważny.

- Nie mogę - powiedziała. Ostrożnie poruszyła stopą.

Przeszywający ból w kostce sprawił, że zacisnęła zęby. -Chyba złamałam kostkę.

Kane mruknął coś pod nosem i klęknął przy niej. Delikatnie uniósł jej nogę i zaczął rozwiązywać sznurowadło. Przyglądała się temu z zainteresowaniem. Jej stopa niemal ginęła w jego wielkiej dłoni.

- Poruszaj palcami - powiedział. Usłuchała. Skrzywiła się z bólu.

Ściągnął jej skarpetkę i zaczął badać stopę. Willow znowu się skrzywiła. Lecz tym razem wcale nie z bólu. Nawet ona widziała wielką opuchliznę na swojej kostce.

- Niedobrze - wymamrotała. - Do końca życia będę chodziła o kulach.

Popatrzył jej w oczy.

- Zwichnęłaś kostkę. Przez kilka dni będziesz musiała okładać ją lodem. Potem wszystko będzie dobrze.

- Skąd wiesz?

- Widziałem wiele zwichnięć.

- Tak często się to zdarza w twoim fachu? Musisz pracować z wyjątkowo niezdarnymi ludźmi.

Głęboko nabrał powietrza.

- Po prostu wiem - rzucił.

- Hej, to ja jestem śmiertelnie ranna i to ja mam prawo stroić fochy.

Wymamrotał coś, co brzmiało jak: „Dlaczego ja?”. Potem wstał i zanim się zorientowała, uniósł ją w ramionach.

Ostatni raz ktoś nosił Willow na rękach, kiedy miała siedem lat. Na dorocznym jarmarku objadła się słodyczy i dostała mdłości.

Skurczyła się i złapała Kane'a za szyję.

- Co ty wyprawiasz? - zawołała. - Puść mnie!

- Zaniosę cię do domu i obłożę nogę lodem. Później zabandażuję ją i zastanowię się, jak cię odstawić do domu.

- Sama pojedę. - Wątpię.

- Sam mówiłeś, że to nic poważnego - przypomniała mu. Przy okazji zauważyła, że niósł ją bez wysiłku. Widać mięśnie miał naprawdę potężne.

- Nie powinnaś prowadzić w takim stanie. Jesteś w lekkim szoku.

W szoku czy nie, nie podobało jej się, że ją wyrzucał. Zawsze starała się sama decydować o sobie. Poza tym były jeszcze inne sprawy.

- Mój but i skarpetka tam zostały - powiedziała. -I twoja marynarka.

- Wrócę po nie później.

- A co z kotką?

W oczach swego wybawcy dostrzegła obawę o stan jej umysłu. Nie spodobało jej się to.

- Tam, pod drzewem. Chyba właśnie rodziła. Zauważyłam ją, kiedy upadałam... Jestem spostrzegawcza. Jest zimno. Nie możemy jej tam zostawić. Masz jakieś pudełko i ręczniki? Albo najpierw gazety, ręczniki później. Przy porodzie jest straszny bałagan, prawda? Wiem, że tak to już jest w naturze, ale trochę dużo przy tym tych różnych płynów.

Doszli do kamiennej ścieżki prowadzącej do domu. Minęli ciężką bramę i Willow zachwycona zamilkła. Dom miał mnóstwo okien i drewna i był doskonale wkomponowany w otoczenie. Ale nie był to główny dom posiadłości.

- Hej, dokąd mnie zabierasz? - zawołała. Wyobraźnia podsunęła jej obrazy lochów pełnych łańcuchów i okopów na ścianach.

- Do mojego domu. Mam apteczkę. No tak. To brzmiało rozsądnie.

- Mieszkasz w posiadłości?

- Tak jest wygodniej.

- Przynajmniej masz blisko do pracy. - Rozejrzała się po ogrodzie. - Od południowej strony. Mógłbyś coś tu hodować. - Willow uwielbiała ogrodnictwo.

- Skoro tak twierdzisz.

Powoli postawił ją na ziemi, ale nadal podtrzymywał. Był od niej dużo wyższy i oczywiście cięższy. Stanowił solidne oparcie. I Willow pomyślała, że jest to mężczyzna, który mógłby zapewnić kobiecie bezpieczeństwo.

Wyjął z kieszeni klucze i wniósł ją do środka.

- Gdybyśmy byli na randce, byłoby to bardzo romantyczne - westchnęła. - Moglibyśmy poudawać?

- Że jesteśmy na randce? Nie.

- Jestem ranna. Mogę zaraz umrzeć. I mówiąc szczerze, to będzie twoja wina. To dlatego, że jesteś żonaty?

Posadził ją w fotelu przy kominku i ułożył jej nogę na kanapie.

- To ty uciekałaś. To twoja wina. Nie jestem żonaty. Nie ruszaj się.

Zniknął za drzwiami. W kuchni, jak sądziła. No cóż, skłonny był nieść ratunek, ale nie był szczególnie przyjacielski. To mogło jej się przydać.

Rozejrzała się po pokoju. Był duży i wysoki. Ale przytulny. I tylko za wielkimi, wychodzącymi na południe oknami brakowało kwiatowych rabat.

Na stoliku do kawy leżała książka o Bliskim Wschodzie. Obok stos gazet finansowych. Oryginalne lektury jak na ochroniarza.

- Jesteś zaręczony? - zawołała.

Coś tam zamruczał niezrozumiale, a potem powiedział: -Nie.

- Czyli nie chcesz poudawać z przyczyn osobistych. Szykujesz lód?

-Tak.

- Nie zapomnij o pudełku dla kota.

- Tam nie ma żadnego kota.

- Jest. Jest za zimno. Nawet jeśli matce nic nie będzie, to co z kociętami? Nie możemy ich tak zostawić, żeby tam umarły.

- Tam nie ma żadnego cholernego kota.

Tam jest kot, pomyślał Kane ponuro, zaglądnąjąc pod drzewo. Szaro-biały. I trzy małe kocięta. Kocica była chuda i mokra.

Przybłęda, pomyślał. I co mam teraz zrobić? Był porządnym człowiekiem. Zawsze się starał postępować przyzwoicie. Wszystko, czego chciał od świata, to żeby zostawił go w spokoju. I tak było. Aż do tego dnia.

Szanse, że kot sam wejdzie do pudełka, były mizerne. Postawił je więc na ziemi i zaczął się zastanawiać. Nie znał się na zwierzętach. Ale wiedział, że koty mają pazury i zęby i że chętnie ich używają. Ale ta kocica właśnie powiła młode. Musiała więc być słaba. Tu widział swoją szansę.

Jednego był pewien. Zanosiło się na rozlew krwi. Jego krwi.

Wsunął rękę do jamy i zamknął ją na pierwszym kociaku.

Kocica położyła łapę na wierzchu jego dłoni. Kiedy zaczął wyciągać maleństwo, ostre pazury wbiły mu się w skórę. Cóż za wspinałe przeżycie.

- Posłuchaj. Muszę zabrać ciebie i maluchy do domu. Noc będzie zimna i mglista. Wiem, że jesteś głodna i zmęczona, więc zamknij się i nie utrudniaj mi misji.

Kocica mrugnęła powoli. I cofnęła pazury.

Umieścił kocięta na ręcznikach w pudełku i sięgnął po matkę. Prychnęła gniewnie, wskoczyła do pudełka i zwinęła się wokół maleństw.

Kane podniósł swoją marynarkę, but i skarpetkę Willow i ruszył do domu.

Nie tak miał wyglądać ten dzień. Wiódł spokojne, samotne życie, bo tak chciał. Lubił swój dom. Żył na uboczu i nikt go nie nachodził. Samotność była jego przyjaciółką i nie potrzebował innych. A tymczasem miał nieprzyjemne wrażenie, że wszystko się zmieni.

Kiedy wszedł do domu, Willow rozmawiała przez telefon.

- Muszę kończyć - powiedziała. - Kane wrócił z kotką i kociętami. Aha, tak. To wspaniale. Dziękuję, Marino. Jestem ci wdzięczna.

- Dzwoniłaś? - Postawił pudełko obok kominka.

- Dałeś mi telefon. Miałam go nie używać?

- Miał być na wszelki wypadek.

- Nic nie powiedziałaś. Ale mniejsza z tym. To była rozmowa miejscowa. Zadzwoiłam do siostry. Przywiezie koci pokarm i kuwetę. I miski. Pewnie wolałbyś nie karmić kotów ze swoich talerzy. Mogę się założyć, że zatelefonowała do mamy i opowiedziała jej wszystko. A to oznacza, że doktor Greenberg jest już chyba w drodze, żeby się zająć moją nogą.

- Masz lekarza, który przyjeżdża na telefon?

- Mama pracuje u niego od lat. Jest wspaniały. - Zerknęła na zegarek. - Powinniśmy się uporać ze wszystkim do drugiej... może trzeciej. Ale jeśli jesteś gdzieś umówiony, nie krępuj się mną.

Miałby ją zostawić w domu samą? Niedoczekanie.

- Mogę pracować z domu - powiedział.

- To świetnie.

Uśmiechnęła się do niego, jak gdyby nigdy nic.

- Nie możesz tego robić - powiedział. - Nie możesz się tak wdzierać w moje życie.

- Nie wdzieram się. Wpadłam w nie. Dosłownie. Znowu się uśmiechnęła. W jej oczach zamigotały piękne ogniki.

- Kim ty, u diabła, jesteś? - spytał.

- Już ci mówiłam. Siostrą Julie.

- Dlaczego nie jesteś w pracy?

- Ja też pracuję w domu. Rysuję komiksy do gazet. Masz coś do jedzenia? Jestem głodna.

Nie trzymał żywności w domu. Zwykle jadał w mieście. Ale coś powinno się znaleźć.

- Poszukam. - Ruszył do drzwi.

- Tylko nie mięso. Jestem wegetarianką.

- No oczywiście - mruknął.

Kocica poszła za nim do kuchni. Po długich poszukiwaniach znalazł puszkę z tuńczykiem. Otworzył ją, wyrzucił zawartość na talerz i postawił na podłodze. Kot natychmiast zaczął jeść.

- Musi być bardzo głodna.

Obejrzał się. W drzwiach, oparta o framugę, stała na jednej nodze Willow.

- Biedactwo. Sama na świecie i w ciąży. Wiesz, że koty samce nie interesują się swoim potomstwem? Typowe. Zupełnie jak w naszym społeczeństwie.

Kane nerwowo potarł skronie.

- Powinnaś siedzieć. Musisz trzymać nogę w lodzie.

- Od tego lodu robi mi się zimno. Masz może herbatę?

Gniewne słowa cisnęły mu się na usta. Powinna się cieszyć, że nie zostawił w lesie tego głupiego kota.

Lecz w niebieskich oczach Willow było coś, co go powstrzymało.

- Nie mam herbaty. Pokiwała głową.
- Herbata nie jest w twoim stylu, prawda? Jesteś na to zbyt...

macho.

- Macho?
- Męski, samczy, czy ja wiem.
- Samczy?
- Tego nie jestem pewna. Tylko zgaduję. Nie wygląda, żeby w twoim życiu była kobieta.

Krew w nim zawrzała.

- Wdzierasz się do mojego domu, grozisz mojemu szefowi, uciekasz, masz mi za złe, że się zraniłaś, a teraz podajesz w wątpliwość moją... moją...

- Męskość? - odpowiedziała usłużnie. - Rozgniewałam cię? To mi się często zdarza. Chociaż wcale tego nie chcę.

- Teraz też ci się zdarzyło.
- Już przestaję. Czy wystarczy, jeśli wrócę na fotel?
- W zupełności.
- Dobrze.

Obróciła się, zachwiała i chwyciła się framugi. Kane zaklął, rzucił się w jej kierunku i objął ją w talii.

- To tylko z upływu krwi - powiedziała i wsparła głowę na jego ramieniu. - Nic mi nie będzie.

- Zwłaszcza że nie straciłaś ani trochę krwi.
- Ale mogłam.

Odwrócił głowę, żeby na nią popatrzeć. I nagle zorientował się, jak blisko był jej ust. Wpatrywał się w jej wargi i walczył z pokusą wpicia się w nie. Tylko na sekundę. Tylko żeby poznać ich smak.

Ale nie powinien. Zraniłby ją tylko... To było nieuniknione.

- Nie będę protestować - wyszeptała. - Wiem, że nie jestem w twoim typie, ale nie powiem nikomu.

Nie miał pojęcia, o czym mówiła. Ale nie dbał o to. Ponieważ po raz pierwszy w życiu zamierzał zrobić coś, o czym wiedział, że robić nie powinien.

Zamierzał ją pocałować.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pocałunek oszołomił Willow. Aż brakło jej tchu. Był gwałtowny i zmysłowy. Nie umiała powiedzieć, co w nim było innego, ale było.

Jego wargi były twarde i zaborcze, a zarazem delikatne. I czułe. Sprawiały, że była gotowa dać mu wszystko, czego by zapragnął.

Przywarła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję. I przytuliła się z całej siły. A kiedy dotknął językiem jej dolnej wargi, natychmiast rozchyliła usta.

Kiedy wsunął język głębiej, zadygotała. Pożądanie rozpało jej krew.

Jego język drażnił i podniecał. I pozostawiał smak kawy i czegoś egzotycznego. Z zapałem odpowiedziała pocałunkiem na jego pocałunek. Miała wrażenie, że powinna się poczuć zawstydzona. Ale pomyślała, że skoro i tak nic więcej z tego nie będzie, to czemu nie miałyby spróbować.

Z każdą chwilą rosło jej podniecenie. Każdym nerwem pragnęła czegoś więcej.

Kiedy uniósł głowę i spojrzał jej w oczy, wzrok miał zamglony pożądaniem. Jakby sztormowe chmury przesłoniły jasne niebo.

- Chcesz się ze mną kochać! - oznajmiła. Była tak szczęśliwa, że omal znowu go nie pocałowała.

Mrucząc coś niezrozumiale, zaniósł ją na fotel.

- Nie kochamy się - powiedział.

- Och, wiem. Nie znamy się, ale masz ochotę. Trzymałeś mnie tak długo, że niemal się udusiłam. Widać, że cię wzięło.

Potrząsnął głową.

- Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, gdy ktoś mówił, że miał ochotę walić głową w ścianę. Teraz rozumiem.

- Kane? - Zignorowała jego słowa. Popatrzył na nią uważnie.

Wstrzymała oddech. Coś nadal wisiało w powietrzu...

Pożądanie. Nie raz mężczyźni proponowali jej łóżko, ale nigdy dotąd żaden jej nie pożądał.

- No! Nie wymyśliłam sobie tego. Jesteś niewiarygodnie słodki. Dziękuję.

- Nie jestem słodki. Jestem zimnym draniem. Uśmiechnęła się do niego.

- Sprawiliś, że ten dzień jest dla mnie wspaniały. Faceci nigdy przedtem mnie nie pragnęli. Tak naprawdę.

Wpatrywał się w nią łakomym spojrzeniem. Lecz zamiast czuć się dotknięta, przeszedł ją miły dreszczyk.

- Uwierz mi, faceci cię pragną. Po prostu nie zauważasz tego.

- Nie. Nieprawda. Jestem ciepła i opiekuńcza. Daję im dom...

Nie dosłownie. Nie mieszkają u mnie. Ale ratuję ich. Rozumiesz, wspieram ich, pomagam się pozbierać, dbam o nich i wtedy odchodzą. I żaden nigdy... wiesz.

- Nie chciał się z tobą przespać? - spytał prosto z mostu.

Skrzywiła się.

- Nie zawsze. Chociaż może to dobrze. Niektórzy byli przyjaciółmi, ale inni... - Wzruszyła ramionami. - Tak właśnie wyglądało moje życie.

Radziła sobie z tym. jej przeznaczeniem było koić dusze facetom i puszczać ich w świat. Ale czasami pragnęła, by dostrzegli w niej coś więcej niż tylko dobrego przyjaciela. Było kilku, z którymi naprawdę chciała się bliżej związać.

- Sama widzisz - powiedział. - Mnie nie trzeba ratować.

Nie była pewna, czy mu wierzy. Lecz na razie nie zamierzała się tym zajmować. Zapewne dlatego, że pragnęła czegoś innego.

- Jesteś taki przystojny i silny - powiedziała z westchnieniem. - Zupełnie nie w moim typie. Ale nie skarżę się.

- Dobrze wiedzieć - rzucił cierpko.

- Mógłbyś mnie znów pocałować. Nie broniłabym się.

- Cóż za urocze zaproszenie. Lepiej poszukam ci czegoś do jedzenia,

- Ale przecież wciąż mnie pragniesz, prawda? To nie minęło.

Zajrzał jej głęboko w oczy. To, co zobaczyła w jego spojrzeniu, rozpało jej serce.

- No! - Kiedy odwrócił głowę, odzyskała oddech. - Dobry jesteś.

- Żyję, żeby służyć.

Poszedł do kuchni. Słyszała otwieranie szafek. Spojrzała na kocicę liżącą młode.

- Myślę, że będziesz naprawdę szczęśliwa - wyszeptała. - Kane jest miły i delikatny. Będzie dobrym panem.

Mógłby być, jeśli zdołam go przekonać, żeby was zatrzymał, pomyślała. W głębi serca na pewno był dobrym człowiekiem.

Usłyszała stukanie do drzwi.

- Otworzę - powiedziała. Zdjęła nogę z krzesła i spróbowała wstać.

- To mój dom i ja to zrobię - zaprotestował, stając w drzwiach kuchni. - Siedź. Zostań tu.

- Całujesz zbyt dobrze, żeby mnie nastraszyć - odparła. Bez słowa otworzył drzwi.

- Tak? - powiedział.

- Jestem Marina Nelson. Przyjechałam, żeby się zobaczyć z siostrą. - Wcisnęła mu w rękę torbę. - W samochodzie jest tego więcej.

Willow zakręciła się w fotelu i pomachała ręką.

- Przyjechałaś.

- Oczywiście, że przyjechałam. Powiedziałaś, że upadłaś i złamałaś kostkę.

- Zadzwońłam do Mariny, bo wiedziałam, że jest w domu - powiedziała Willow do Kane'a. - Julie jest teraz w pracy. Wpuścisz Marinę do środka?

- Jeszcze nie wiem.

- Odsuń go - powiedziała Willow do siostry. Marina pokręciła głową.

- Wygląda solidnie.

Willow zamierzała już powiedzieć, że wcale nie jest taki twardy, jak wygląda, i że wspaniale całuje, ale się powstrzymała.

- Jesteście do siebie podobne - stwierdził Kane. Willow westchnęła. Na pewno będą z nim kłopoty.

- Wszystkie trzy - powiedziała. - To kwestia genów. Wpuścisz ją, czy nie?

- A czy mam wybór?

- Jeśli teraz odejdę, wrócę z odsieczą - zagroziła Marina.

- Racja. - Odsunął się na bok. Marina podbiegła do Willow.

- Co się stało? Co ty tu robisz? Co z twoją nogą? - Marina usiadła na kanapie. - Zaczynij od początku.

Kane zaniósł torbę do kuchni i wyszedł z domu.

- Mów - ponagliła Marina.

- Nie mogłam zapomnieć o Toddzie - zaczęła Willow. - Robiłam się coraz bardziej wściekła. A kiedy zbudziłam się rano, nie mogłam już dłużej wytrzymać.

- Chcesz powiedzieć, że przyjechałaś tutaj, żeby się z nim rozmówić?

- Właśnie tak było.

Kane wszedł z naręczem kolejnych toreb.

- Są jeszcze jakieś w bagażniku? - spytał.

- Nie. Tylko te na tylnym siedzeniu. Dziękuję. Chrząknął i zniknął w kuchni.

Willow odprowadziła go wzrokiem. Nie przypuszczała, że kobieta może z takim zainteresowaniem oglądać męskie pośladki.

- Willow! - Marina nie kryła zniecierpliwienia.

- Słucham? Ach, przepraszam. Tak więc przyjechałam tutaj, żeby nawymyślać Toddowi. Niemal mu się udało zniszczyć wszystko między Julie i Ryanem. Nie mogłam znieść myśli o tym. Za kogo on się ma? I jeszcze sprawa tego miliona dolarów. Jest wstrętnym egoistą. Wydaje mu się, że teraz, kiedy Julie jest zaręczona, będziemy się za nim uganiać. Chciałam mu wbić do głowy, że się myli.

- Jak na wegetariankę i osobę uważającą się za żyjącą tak blisko natury masz w sobie zdumiewająco dużo agresji -zawołał Kane z kuchni.

- Nie jestem agresywna - odkrzyknęła. - To nie ja się obnoszę z bronią. A przy okazji, gdzie ona jest?

- Tam, gdzie jej nie znajdziesz.

- On ma broń? - spytała Marina zduszonym głosem.

- Tak, ale nie bój się. Kiedy tu przyjechałam, Kane otworzył drzwi. Myślę, że naprawdę uznał, że jestem niebezpieczna. Próbował mnie złapać.

-Co?

- To jego praca. Jest szefem ochrony wszystkich firm Todda i Ryana. Pamiętaj o tym. Jest strasznie drażliwy, gdy ktoś uważa go za szefa ochrony tylko w posiadłości.

- Nie jestem drażliwy.

Zabrzmiało to, jakby mówił przez zaciśnięte zęby. Pochyliła się. Ściszyła głos.

- Widzisz, naprawdę jest drażliwy. A więc próbował mnie złapać. W domu nie dał rady, ale na zewnątrz mu się udało. Przewróciłam się. A kiedy upadłam, nie tylko skręciłam nogę, ale zauważyłam rodzącą kotkę. I to wszystko.

Marina dłonią zakryła usta. Potem opuściła ręce na kolana.

- Sama nie wiem, czy się śmiać, czy krzyczeć. Cała ty, Willow. Cała ty.

Z kuchni wyszedł Kane z kartonowym pojemnikiem w dłoni.

- Czy to jest to, co mi się zdaje? - spytał ponuro.

- Tak, jeśli masz na myśli kocia kuwetę - powiedziała Marina.

Odwróciła się do siostry i dodała: - Jest jednorazowego użytku i ulega biodegradacji. Sprytne, co?

- Bardzo. Dziękuję. Jak sądzisz, gdzie powinniśmy ją ustawić? Marina rozejrzała się po salonie.

- Gdzieś, gdzie będzie trochę spokojniej - powiedziała. Kane przysłuchiwał im się zdezorientowany. Co tu się, u diabła, dzieje? - pomyślał. Kiedy straciłem kontrolę nad sytuacją? O moim życiu nie wspominając?

- Poszukam odpowiedniego miejsca. - Marina wstała, wyjęła Kaneo'wi pudełko z ręki i uśmiechnęła się. - Prędko przywykniesz do nowej sytuacji.

Bez słowa patrzył za wychodzącą Mariną.

- Masz szufelkę? - spytała Willow. - Przyda ci się. I papierowe ręczniki.

No tak, pomyślał ponuro. Kocia łazienka.

- Będzie umiała skorzystać z kuwety, prawda? - Głową wskazał kocicę.

- O, na pewno. Musimy jej tylko pokazać, gdzie jest. Marina wróciła bez pudełka.

- Łazienka przy drugiej sypialni będzie dobra - powiedziała. - Tam postawiłam pudełko. - Podeszła do siostry, pochyliła się i zniżyła głos. - Nie widać, żeby jakaś kobieta mieszkała z nim na stałe.

Poczuł równocześnie i gniew i rozbawienie.

- Jestem tutaj - powiedział.

- Wiemy. - Willow uśmiechnęła się do niego.

- Wygląda nieźle - ciągnęła Marina. - Ale znając twoje dotychczasowe doświadczenia z chłopcami...

- To prawda - powiedziała Willow smutno. - Może on jest inny.

- Wciąż tu jestem - oznajmił.

- Możesz nakarmić kota - powiedziała Willow. - Pewnie poczujesz się lepiej w kuchni, kiedy będziemy tu o tobie rozmawiały.

Właściwie jej słowa miały sens. Poszedł do kuchni z głową pełną myśli. Rano wszystko wyglądało miło i zwyczajnie. I nagle został napadnięty. W jego domu pojawili się ludzie... Nie lubił ludzi.

Zajrzał do torby. Była pełna opakowań z pokarmem dla kotów. I były tam trzy miski. Napełnił jedną wodą. Do drugiej nasypał granulowanej karmy. Kocica przybiegła do kuchni i zabrała się do jedzenia.

Zaczął zaglądać do pozostałych toreb. Marina przywiozła chleb, miód, kilka paczek mrożonych, zup, torby z ciasteczkami, jabłka,

gruszki, kilka dziewczęcych mydełek i parę kolorowych tygodników dla kobiet. Czyżby sądziła, że jej siostra wprowadziła się na dłużej?

Poczuł coś na nodze. Spojrzał w dół. To kotka ocierała się o jego łydkę, mruczając głośno. Schylił się i pogłaskał zwierzę, z dziwnym poczuciem zawstydzenia. Nigdy nie hodował zwierząt. W dzieciństwie musiał myśleć przede wszystkim o tym, jak wyżywić siebie. I jak nie stać się ofiarą. W wojsku wielu kolegów trzymało psy. Ale on nie.

Wyprostował się. Słyszał głosy Willow i Mariny rozmawiających w salonie. Na szczęście nie rozumiał słów. Ale co dalej? We własnym domu czuł się jak intruz.

Znowu ktoś zastukał do drzwi. Zanim zdążył zareagować, Marina krzyknęła, że otworzy. Kiedy wszedł do salonu, zobaczył jakby starszą wersję Willow. Towarzyszył jej mężczyzna w średnim wieku, w eleganckim garniturze.

- Mamo, nie musiałaś przyjeżdżać - powiedziała Willow. - Nic mi nie jest.

Matka podała Marinnie żaroodporne naczynie i podeszła do Willow.

- To nieprawda - powiedziała. - Jesteś ranna. Co miałam robić? Pozwolić ci leżeć tutaj w boleściach?

- Och! Mamo.

Mężczyzna podeszedł do Kane'a.

- Jestem doktor David Greenberg, przyjaciel rodziny.

- Kane Dennison. - Uścisnęli sobie dłonie. Doktor Greenberg podszedł do kanapy.

- No dobrze, Willow. Pokaż mi, co ci się stało. Mama odsunęła się. Marina dotknęła jej ramienia.

- To jest Kane, mamó. Starsza pani uśmiechnęła się.

- Witam! Jestem Naomi Nelson. Willow powiedziała, że przyniosłeś ją tutaj i uratowałeś jej życie.

Widać Willow zdążyła odbyć wiele rozmów przez telefon.

- Nie sądzę, żeby jej groziła śmierć - sprostował.

- Mamó, tam są kocięta - powiedziała Willow, wskazując pudełko.

- Och! Dopiero się urodziły.

Naomi pochyliła się nad pudełkiem. Marina zamruczała coś pod nosem i wstawiła naczynie do lodówki. Kane tymczasem przyglądał się, jak doktor badał Willow. -

- Boli? - spytał, obracając ostrożnie jej stopę. - A to? Willow odpowiedziała na pytania i spojrzała na Kane'a.

Natychmiast poczuł gwałtowne bicie serca. Zabawne. Marina była do niej tak bardzo podobna, a jej spojrzenie nie powodowało takich reakcji.

Po kilku minutach doktor Greenberg poklepał Willow po kolanie.

- Będziesz żyła - powiedział. - To tylko silne zwichnięcie. Opuchlizna powinna ustąpić za kilka dni. Na razie postępuj jak dotychczas. Noga uniesiona do góry i lód. Rano poczujesz się lepiej.

- To boli - powiedziała Willow cicho. Doktor uśmiechnął się.
- Pamiętam, jak bardzo źle znosisz ból. Kiedy byłaś mała, zaczynałaś krzyczeć, zanim jeszcze zrobiłem ci zastrzyk. - Poszperał w swojej torbie i wyciągnął paczkę tabletek. - To ci powinno pomóc. Połknij teraz. Ale co najmniej do rana nie próbuj siadać za kierownicą.

- Jest pan dla mnie bardzo dobry - powiedziała Willow słabym głosem.

- Wiem. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Staraj się nie być taką łamagą.

- Nie zrobiłam tego specjalnie.

- Ale zrobiłaś.

- Bardzo dziękuję, że pan przyjechał - zawołała Naomi. Doktor wzruszył ramionami.

- Znam je niemal od urodzenia. To są także moje dziewczynki. Wracam do gabinetu.

- Przyjadę w ciągu godziny - obiecała Naomi.

Obie kobiety zaczęły się krzątać wokół Willow. Przyniosły jej szklankę wody, żeby mogła połknąć pigułkę. Zmieniły lodowy okład na kostce. Podały kanapkę. Kane stał w kącie i przyglądał się temu bez słowa. Obcy we własnym domu.

Po jakimś czasie Naomi odszukała go w kuchni.

- Dziękuję za wszystko - zaczęła. - Przepraszam za to całe najście.

- W porządku - powiedział. Możecie już sobie pójść, pomyślał.

- Zaraz pozbięram jej rzeczy i zabiorę ją do domu. Obejrzał ją od stóp do głowy. Była dość wysoka i dobrze

zbudowana, ale na pewno nie była w stanie nosić córki.

- Ja to zrobię - powiedział. - Nie może pani przecież jej nosić.

- Och! - bąknęła Naomi. - Wcale o tym nie myślałam. Nie mogłaby... skakać na jednej nodze?

- Raczej nie. Proszę się nie martwić. Odwiozę ją do domu.

Naomi zerknęła na zegarek. Wiedziała, że powinna wracać do pracy.

- Nie wiem tylko, czy to Willow odpowiada - dodał. Naomi skinęła głową i poszła do salonu. Kane pomału poszedł za nią.

- Nic mi nie będzie - mówiła Willow. Kiedy spojrzała na niego, jej niebieskie oczy świeciły wesoło.

Stropił się. Co ona, u licha, knuje? Matka uścisnęła córkę i podeszła do Kane'a z wyciągniętą ręką.

- Jesteś bardzo uprzejmy. Nie wiem, jak ci dziękować.

- Nie ma sprawy.

- Powodzenia z kotami. Będą nieźle psocić. I tak prędko się ich pozbędę, pomyślał. Na koniec zostali z Willow we dwoje.

- Przepraszam, że tyle osób się zjechało.

- Nie, nie przepraszaj. Sama ich zaprosiłaś. Chciałaś, żeby przyjechali.

- Zgoda. Masz rację. Chciałam mieć pewność, że nie umrę.

- Rzadko się umiera z powodu skręcenia kostki.

- Ale przynajmniej przywieźli jedzenie. - Uśmiechnęła się. - A ty lubisz jeść.

- Skąd wiesz?

- Jesteś facetem. Wszyscy faceci lubią jeść.

- Zajmę się lepiej kocią karmą. - Ruszył do kuchni.

- Jeszcze jej nie nakarmiłeś?

- Oczywiście, że nakarmiłem. Chcę spakować kocie jedzenie, żebyś mogła je zabrać.

- Nie jadam kocie karmy.

Robiła to specjalnie. Wiedział to. Uważała, że to świetna zabawa.

- To dla kota - wytłumaczył cierpliwie.

- Kot nie pojedzie ze mną. W naszym budynku nie da się trzymać kotów. Między innymi dlatego właśnie tam wynajęłam mieszkanie. I jeszcze dla cudownego terenu za domem. Urządziłam śliczny ogród, jednak rośnie tam wiele roślin, które mogą być trujące dla kotów. Są piękne, ale nie dla nich. Poza tym są tam jeszcze psy i ptaki. Mogłoby się to skończyć tragicznie.

Rzadko miewał bóle głowy, ale teraz czuł wyraźnie, że nadchodzi.

- Nie będę trzymał tu kotów!

- Musisz - powiedziała. - Kocięta są zbyt młode, żeby je stąd ruszać. Potrzebują ciepła i spokoju. I swojej mamy. A właśnie, włóż do pudełka butelkę z ciepłą wodą.

- Przecież są schroniska dla zwierząt - usłyszał swój chrapliwy głos.

- Są. Ale pełne prawdziwych sierot. Ten kot ma dom.

Przynajmniej do czasu, gdy maluchy podrosną.

- Nie mają tutaj żadnego domu.

Wpatrywała się w niego wielkimi oczami. Wiedział, że nim manipulowała i wiedział, że się nie podda.

- Nie chcę tutaj kotów - stwierdził stanowczo. - Ani tego, ani żadnego innego.

- Jakie to okrutne - powiedziała tak cicho, że z trudem zrozumiał słowa. Ale zabolalo, jakby go uderzyła. Jej niebieskie oczy pociemniały z rozczarowania. Skurczyła się w fotelu.

- Dobrze - zgodziła się w końcu. - Spakuj tylko wszystko razem. Zaraz coś wymyślę.

Eskortował wielu w ludzi w najdziksze zakątki świata. Zabijał, żeby przeżyć. Ale nigdy nie czuł się tak podle jak teraz.

Cóż się stało, że tak się przejął tym, co ta kobieta sobie o nim pomyśli? To tylko kot. Niech go sobie zabiera.

Poszedł do kuchni i spakował karmę w dużą torbę. Wrócił do salonu i zobaczył, że... Willow śpi.

Jej głowa opadła na oparcie fotela. Jasne włosy rozsypały się na ciemnej skórze mebla. Jedną nogę podwinęła pod siebie. Druga, wyprostowana, spoczywała na kanapie. Wciąż obłożona lodem. - Willow?

Nie poruszyła się. Nie dość, że źle znosiła ból, to jeszcze bardzo mocno reagowała na środki przeciwbólowe. Nic dziwnego, że doktor zabronił jej siadać za kierownicą.

W pokoju panowała cisza. Słysząc było tylko mruczenie kocicy i głośne dudnienie serca Kane'a.

Gdy się zbudziła, nie wiedziała, gdzie jest. Przerazona, usiadła gwałtownie. Lecz nim adrenalina wypełniła jej żyły, wszystko sobie przypomniała. I domyśliła się, że wciąż musi być w domu Kane'a.

Spojrzała na zegar stojący na nocnej szafce. Dochodziła północ. Jedna tabletką powaliła ją na wiele godzin. W słabym świetle nocnej lampki rozglądała się dookoła. Pokój gościnny, pomyślała. Szkoda... Naprawdę nie miałyby nic przeciw temu, żeby się zbudzić w jego łóżku... Przy nim.

Uśmiechnęła się do swoich myśli i spojrzała na siebie. Za wyjątkiem butów była kompletnie ubrana. Kane był dżentelmenem. To jej szczęście!

Westchnęła. Kane miał w sobie coś, co sprawiało, że marzyła o odrobinie szaleństwa. Może dlatego, że w jego towarzystwie czuła się bezpieczna. Że cokolwiek zrobi, jak się zachowa, nic złego nie może jej się stać. Bo on zawsze ją obroni.

Żaden z jej dotychczasowych znajomych nie dawał jej takiego poczucia bezpieczeństwa.

Spuściła nogi na podłogę i ostrożnie wstała. Kostka zabolęła, ale odrobinę mniej niż przedtem. Mogła już prawie normalnie chodzić.

Najpierw poszła do łazienki. Znalazła tam nowiuteńką szczotkę do zębów i pastę. Skorzystała. Potem umyła twarz i poszła szukać swojego gospodarza.

Kane był w salonie. Czytał. Kiedy weszła, podniósł na nią oczy.

- Przepraszam - powiedziała. - Ta tabletki zwała mnie z nóg.

- Zauważyłem.

- To ty... hm... zaniósłeś mnie do łóżka? -Tak.

- Przespałam to.

- Najwyraźniej.

- Nie rozebrałeś mnie.

- Uznałem, że tak będzie właściwie.

- Dobrze. Skrzywił się.

- Miałem zerwać z ciebie ubranie i wziąć cię nieprzytomną?

- Oczywiście, że nie. Ja tylko... Przecież wcześniej ją pocałowałem, czyż nie?

Wstał i podszedł do niej. W mgnieniu oka prysnął gdzieś jego dobry humor. Wyglądał groźnie.

- Grasz w niebezpieczną grę - powiedział. - Nic o mnie nie wiesz.

Miał rację. Rozsądna część jej mózgu podpowiadała, żeby jak najszybciej wrócić do pokoju gościnnego i zamknąć drzwi na klucz. Ale przecież jej pragnął. Naprawdę pożądał. A to w jej życiu nie zdarzało się często.

Delikatnie przesunął między palcami kosmyk jej włosów.

- Jak jedwab - powiedział cicho.

I wtedy to wróciło... Znów zobaczyła w jego oczach ten ogień,
który tak ją poruszył. Poczowała żar, który pchał ją ku niemu i obiecywał
tak wiele. Kuszący, wiodący ku zatraceniu.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nic z tego - powiedziała. - Nie jestem w twoim typie.

- Już to kiedyś mówiłaś. Skąd to wiesz?

- Nie jestem w niczym typie.

- Nie wierzę. - Kane pokręcił głową.

- Ale to prawda. Moja smutna, boleśnie romantyczna historia jest tego najlepszym dowodem. Jestem najlepszym kumplem, któremu chłopaki chętnie się zwierniają.

- Ja się nie zwierżam nikomu,

- A powinieneś. To bardzo zdrowe. Gdy się z kimś podzielisz problemami, stają się one łatwiejsze do rozwiązania.

- Skąd to wiesz?

- Czytałam o tym w jakimś magazynie. Wiele się można dowiedzieć z takich pism.

Nie odrywał od niej ponurego spojrzenia.

- Wracaj do łóżka. Zawiozę cię do domu rano.

Nie! Nie chciała, żeby ją odsyłał do łóżka jak dziecko.

- A ty gdzie będziesz spał?

- Ty będziesz spała w pokoju gościnnym. Ja mam swoje łóżko.

- Widzisz, to jest flirt. Flirtowałam z tobą. Czy nie byłoby miło, gdybyś się przyłączył?

Ruszył ku niej z prędkością dzikiego drapieżnika. Nim zdążyła mrugnąć, znalazł się tuż przy niej. Jedną ręką chwycił ją w pasie, drugą za włosy. I przycisnął do siebie.

Wiedziała, że chciał ją nastraszyć, ale nie czuła lęku.

- Nie skrzywdzisz mnie - wyszeptała.

- Twoja wiara jest głupia i nie na miejscu. Nie wiesz, co zrobię:

Schylił się i pocałował ją. Gwałtownie, mocno i zachłannie.

Objął ją jeszcze mocniej i delikatnie pogłaskał po plecach.

Po chwili uniósł głowę i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jestem mroczny i niebezpieczny i nie grywam w twoje gry - powiedział. - Nie jestem tym, z którym chciałabyś się związać. Nie jestem miły. Nie dzwonię następnego dnia i nigdy mnie nie interesuje więcej niż jedna noc. Nie możesz mnie zmienić, uzdrowić, ułożyć po swojemu. Jesteś z tak bardzo innego świata, że nawet nie wiesz, że powinnaś się bać i uciekać. Uwierz mi.

Jego słowa sprawiły, że zadrżała.

- Nie mogę się ciebie bać - powiedziała.

- Dlaczego, do cholery?

Uśmiechnęła się i przesunęła palcem po jego wargach.

- Przyznaję, że jesteś twardy i możesz wzbudzać w ludziach strach. Ale uratowałeś mnie i kocięta. Byłeś miły dla mojej mamy i siostry. A kiedy zaniósłeś mnie do łóżka, nawet przez myśl ci nie przeszło, żeby mnie wykorzystać. Czego tu się bać?

Zacisnął powieki i jęknął głucho. Nie zabrzmiało to zbyt pokojowo.

- Jesteś niemożliwa.

- Już to kiedyś słyszałam.

- Jesteś zniewalająca. Westchnęła.

- A to coś nowego - powiedziała. - Mógłbyś to powtórzyć?

Popchnął ją, aż się znalazła pułapce między nim a ścianą. Czuła jego podniecone ciało. Wyraźnie.

- Pragnę cię - powiedział głucho. - Pragnę twej nagości, pragnę zanurzyć się w tobie, aż zapomnisz, kim jesteś. Ale byłabyś głupia, gdybyś się na to zgodziła. To nie jest zabawna wycieczka na mroczną stronę. Jeśli oczekujesz ode mnie czegokolwiek, bardzo się rozczarujesz. Ja odejdę, Willow. Wcześniej czy później, ale odejdę. Wybór należy do ciebie.

Widziała w jego oczach, że mówił szczerze. Znow przemknęło jej przez głowę, że najlepszym wyjściem byłby pokój gościnny. Ale nigdy dotąd nie spotkała kogoś takiego jak Kane. I chociaż próbował ją przekonać, że jest twardy i nieprzystępny, czuła, że w głębi duszy jest inny.

Odejść? Nigdy! Może ją zrani? A może nie? Gotowa była podjąć to ryzyko. Musiała. Było w nim coś, co przemówiło do niej.

Poza tym jego bliskość wprawiała ją w drżenie.

- Jak na kogoś, komu tak bardzo na niczym nie zależy, bardzo wiele trudu włożyłeś w to, żeby mnie ostrzec. Może przestałbyś gadać i mnie pocałował?

-Willow!

- Widzisz? Znow to robisz. Rozumiem zasady i godzę się grać według twoich reguł, a ty nadal gadasz. Wiesz co?

Myślę, że to wszystko to gra. Nie sędzę, żebyś miał zamiar zrobić cokolwiek. Myślę...

Porwał ją w ramiona i pocałował. Bez wstępów, bez przygotowań. Mocno i głęboko. Z niespotykaną pasją. Bez przerw na oddychanie. Zachłannie.

Nie czuła strachu. Jej ciało płonęło. Mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Wbrew groźbom Kane nadal był delikatny. Jego ręce poruszały się po jej plecach, w górę i w dół. Dotykały jej. Lecz nie było w tym ani krzty wrogości.

Położyła mu dłonie na ramionach i przytuliła się do niego. Oparła się na nim. Przechyliła głowę na bok i ochoczo odwzajemniła pocałunek.

Kane wyprostował się. Cofnął się o krok i wbił w nią wzrok. Dostrzegła w jego niebieskich oczach poruszenie, przyjemność i głębokie pragnienie...

- Niełatwo mnie przestraszyć. - Wzruszyła ramionami.

Potrząsnął głową. A potem uniósł ją w ramionach i ruszył w głąb domu.

Znaleźli się w oświetlonej tylko nocną lampką sypialni. Pod ścianami stały ciemne meble. Pośrodku olbrzymie łóżce.

Kane posadził ją na brzegu łóżka i przyglądał jej się bez słowa.

Nie odwróciła oczu. Nawet gdy zaczął rozpinąć koszulę. Po chwili stał przed nią z nagim torsem.

Wstrzymała oddech. Był muskularny, wspaniale zbudowany i... pokryty bliznami. Było ich wiele. Małe, nieregularne kółka i długie, poszarpane linie. Blizny po operacjach i po ranach.

Co mu się przytrafiło? Kto go tak pokaleczył? I dlaczego? Ale tym razem nie było czasu na pytania. Bowiem Kane zdjął już buty i skarpetki. Zaraz potem spodnie i ciemne slipy.

Stał przed nią nagi. Piękny, twardy i gotowy. Jego ciało powinno się uwiecznić w marmurze, pomyślała. Ale Kane chyba nie zgodziłby się pozować.

Wsparł się pod boki i patrzył jej prosto w oczy.

- Jeszcze możesz odejść - powiedział.

- Nie z moją kostką.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Wiem. Nie zamierzam odejść. Podszedł o krok.

Ściągnęła sweter przez głowę i rzuciła go na podłogę.

- Co dokładnie musi zrobić dziewczyna, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę?

Z jego krtani wydobył się głuchy jęk. W jednej chwili znalazł się na łóżku, na niej. Potem obrócił się na plecy, tak że siedziała na nim. Wplótł dłoń w jej włosy, przyciągnął i pocałował ogniście.

Przyjęła go z ochotą. Zaatakowała językiem. Odpowiedział tym samym. Głaskał ją po plecach, coraz niżej, aż do paska dżinsów. Wsunął w nie dłonie. Przywarł do niej całym ciałem.

Czuła na brzuchu jego podniecenie. Pragnęła, by jej dotykał. Wszędzie. Wyprostował się.

- Jesteś taka piękna - szepnął. Sięgnął za jej plecy i rozpiął stanik.

Jego słowa były wspaniałe. Lecz jego usta na jej nagich piersiach jeszcze wspanialsze. Ssał, całował, nagryzał. Każda pieśczoła wprawiała ją w drzenie. Budziła kolejne pragnienia. Jeszcze silniejsze. Nieoczekiwane. Żeby zerwać z siebie ubranie i przytulić się do niego.

Kane pieścił jej piersi. To jedną, to drugą. A ona wplotła mu palce we włosy i z całej siły przycisnęła go do siebie. Rozkoszne dreszcze wstrząsały nią raz po raz.

Całował ją bez przerwy. Coraz niżej i niżej. Rozpiął jej spodnie i całował dalej. Z każdą chwilą jej podniecenie rosło coraz bardziej.

Jednym wprawnym ruchem ściągnął z niej spodnie. Skape majteczki bikini wraz z nimi. I natychmiast ponownie obsypał ją pocałunkami.

Niecierpliwym ruchem uniosła biodra. Wyszła naprzeciw rozkoszonym pieśczołom. Zadrzała z niecierpliwości.

To było wspaniałe. Kane lizał ją, całował i ssał. Pieśczołom nie było końca. Coraz mocniej, coraz bardziej rytmicznie. Rozpalał ją, wzbudzał kolejne fale rozkoszy. Coraz szybciej i głębiej. Lecz gdy już jej się zdawało, że odleci, zwalniał.

Oddychała chrapliwie. Zacisnęła w dłoniach zmięte prześcieradło. Wbiła pięty w materac. Kane ponownie przyspieszył, wzmógł gwałtowność pocałunków. I już po chwili Willow znalazła się na krawędzi. Coraz bliżej...

- Kane - wydusiła.

Zatrzymał się. Omal się nie rozpląkała z rozpaczy. Wrażenie było tak potężne, że niemal przestała oddychać. A gdy ponownie ją pocałował, kiedy poczuła muśnięcie czubkiem języka, eksplodowała. Zdawało jej się, że się rozpadła na miliony kawałeczków. Każdy strzęp jej ciała dygotał w rozkosznych spazmach. Po raz pierwszy w życiu doznała czegoś takiego.

Rozkosz zdawała się płynąć zewsząd. Jak morskie fale. Powoli słabnące, uspokajające się. Kane uniósł głowę.

W jego ciemnych oczach wciąż żarzyło się pożądanie. I satysfakcja. Nie miała o to do niego żalu. Zasłużył na to.

- Jestem wykończona - wyszeptała.
- O to chodziło.
- Jesteś naprawdę dobry.
- Z tobą to żadna sztuka. Uśmiechnęła się.
- Oto słowa, które każda kobieta chciałaby usłyszeć - powiedziała z przekąsem.

Klęknął między jej udami i sięgnął do szuflady w nocnej szafce.

- Jesteś bardzo wrażliwa.
- Już lepiej.

Nałożył prezerwatywę i spojrzał jej w twarz. Jego oczy lśniły pożądaniem. Willow wyciągnęła ręce i poprowadziła go do celu. Przyjęła go z cichym westchnieniem.

Kane nie spieszył się. Poruszał się zdumiewająco powoli. Miarowo. Rozkoszował się każdą chwilą i jej pozwalał na to samo.

Kiedy naprężyła mięśnie, jęknął cicho. Uniósł się nieco, żeby móc wsunąć dłoń między ich rozpalone ciała.

Głaskał ją coraz prędzej, naciskał coraz mocniej, poruszał się miarowo. Nie potrafiła skupić myśli. Wszystko było tak dobre, tak wspaniale...

Gdy dotarła do szczytu, płonęła. Jej rozpalone ciało drżało. Kane pochylił się, przytulił do niej i po chwili on także odpłynął na fali rozkoszy. Opadł, przekreślił się na plecy, objął ją i przytulił. Dyszeli ciężko, słabi i rozkosznie zmęczeni.

Willow oparła mu głowę na ramieniu. Czuła i słyszała ciężkie uderzenia jego serca. Jego urywany oddech.

- Całkiem nieźle, jak na nowicjuszkę - powiedziała.
- Dzięki. - Parsknął śmiechem. Uśmiechnęła się.
- Znasz się na tym - powiedziała. - Pewnie niejedną chorobę w ten sposób uleczyłeś.

- Już mówiłem, że jesteś bardzo wrażliwa.

Całkiem jej to odpowiadało. Swoje dotychczasowe doświadczenia w tej materii mogła policzyć na dwóch palcach. I żadne z nich nie przygotowało jej na spotkanie z maestrią Kane'a.

Jej serce powoli się uspokajało, a oddech wyrównywał. Robiła się coraz bardziej senna. Na dnie świadomości pojawiło się pytanie, czy powinna zaproponować, że pójdzie do pokoju gościnnego. Przypomniała sobie jednak, że to był Kane. Gdyby chciał, żeby sobie poszła, nie wahałby się z powiedzeniem jej tego.

Taki już z niego niegrzeczny chłopak, pomyślała. Mocniej się do niego przytuliła i zamknęła oczy.

Kane przebudził się krótko przed świtem. Od razu wiedział, że działy się dwie złe rzeczy. W jego łóżku leżała kobieta, a po pokoju kręcił się intruz.

Kobietą była Willow. Wiedział to i mógł się tym zająć później. Najpierw musiał rozwiązać drugi problem. Zanim jednak zdążył wyjść z łóżka i zaatakować wroga, chuda kotka wskoczyła mu na pierś i miauknęła prosto w twarz.

-I tobie dzień dobry - mruknął i pogłaskał ją. Zamruczała głośno.

Odsunął ją na bok i wstał. Włożył szlafrok, poszedł do kuchni i włączył ekspres do kawy. Kot poszedł za nim. Kane popatrzył na miski. Obie były wylizane do czysta. Napełnił je więc i poszedł do salonu.

Kocięta nadal leżały w pudełku. Jedno nie spało i nawoływało matkę. Kane ostrożnie pogłaskał maleństwo. Było ślepe i zupełnie bezbronne. Na wolności nie przeżyłoby zapewne nawet kilku godzin. Zbyt wielu łowców krążyło dookoła. To była ta paskudna strona życia.

Rozumiał to i się z tym godził. Willow nie. Ona chciała uratować cały świat. Zabawne, pomyślał, że dotąd się nie zorientowała, że świat nie jest tego wart.

Blask słońca i zapach kawy obudziły Willow. Spojrzała na zegar na nocnej szafce. Było po ósmej, a ona wciąż leżała w łóżku Kane'a. Naga...

Uśmiechnęła się. Przeciągnęła. Bolały ją wszystkie mięśnie. Miała za sobą ciężką noc. Potrójnie ciężką.

Wstała i ruszyła do łazienki. Znalazła tam swoje rzeczy. Starannie poskładane. Wzięła prysznic i się ubrała. Ból w kostce bardzo zmalął. Mogła nawet bez trudu włożyć but. Poszła do kuchni, naląła sobie kawy i skierowała się do salonu.

Przy biurku w kącie siedział Kane z komputerem przed oczyma. Też był już wykąpany i ubrany. Musiał zrobić to w pokoju gościnnym, bo niczego nie słyszała.

Spojrzał na nią, ale się nie odezwał. Wyglądał groźnie i ponuro. Nie było w jego oczach nawet cienia łagodności.

- Nie panikuj - powiedziała z uśmiechem. - Wyjadę, gdy tylko wypiję kawę. Nie będziesz mnie musiał wyganiać.

- Dlaczego miałbym ci uwierzyć? Zadzwoń tutaj bardzo łatwo.

Miał miły głos, z głębokimi nutkami, które sprawiały, że ciarki przebiegły jej po plecach. Słuchała go z prawdziwą przyjemnością.

- Mam sprawy do załatwienia - powiedziała. - Ważne sprawy.

- Wyobrażam sobie. Podeszła bliżej.

- Co robisz? - spytała. - Pracujesz?

- Już skończyłem. To sprawy osobiste.

- Ooo. Dziewczyna na linii.

Pokręcił głową i obrócił ku niej komputer. Zobaczyła na ekranie zdjęcie ślicznej wyspy. Nieprawdopodobnie błękitne niebo, niemal

biały piasek. Kiedyś, w innym życiu, kiedy będzie bardzo bogata, chciałaby zamieszkać w takim miejscu.

- Wakacje? - spytała.

- Emerytura. Będę gotów za osiem lat. Może pięć, jeśli moje inwestycje dadzą zysk lepszy, niż zakładałem.

Emerytura? Zdziwiła się.

- Ale przecież masz niewiele ponad trzydziestkę.

- Trzydzieści trzy.

Opadła na stojący przy biurku fotel.

- Dlaczego chcesz przejść na emeryturę?

- Bo mogę. Zrobiłem już więcej, niż chciałem. A ona ledwie zaczęła swoje życie.

- Co na przykład? - spytała. Usiadł wygodniej.

- Skłamałem na temat mojego wieku, sfalszowałem metrykę urodzenia i w wieku szesnastu lat wstąpiłem do wojska. Służyłem przez dziesięć lat. Z tego osiem w siłach specjalnych.

Stąd te blizny, pomyślała. Wojownik. Serce zabiło jej mocniej.

- Po odejściu z armii cztery lata spędziłem, ochraniając ludzi w najbardziej niebezpiecznych miejscach na ziemi. Pieniądze nieźle, ale zmęczyło mnie już, że wciąż do mnie strzelano. Pracę u Todda i Ryana podjąłem dlatego, że jest stabilna i dobrze płatna. To dobra droga do fortuny.

- Tego właśnie potrzebujesz? Fortuny? - Skoro zamierzał przejść na emeryturę za osiem lat, już musiał mieć pokaźny majątek.

- Trochę mi potrzeba.

- Na co?

Ruchem głowy wskazał na ekran komputera.

- Prywatność i samotność nie są tanie. Chcę mieć miejsce odosobnione i łatwe do ochrony. Gdzie będzie mało ludzi i gdzie będę mógł robić, co będę chciał.

- A co z rodziną? - Nie mogła zrozumieć jego zamiłowania do samotności. - Żona, dzieci? Nie możesz ich trzymać w zamknięciu.

- Nie jestem zainteresowany.

Mocniej zacisnęła dłoń na kubku z kawą.

- Ale wtedy będziesz całkiem sam.

- Właśnie.

- Przecież to bardzo źle. Spojrzał na nią przeciągle.

- Już ci powiedziałem, Willow. Nie zwiążę się z nikim. Nigdy. Miała wrażenie, że mówił w jakimś obcym języku.

- Dla mnie rodzina jest wszystkim - powiedziała. - Bez niej czułabym się zagubiona. Każdy potrzebuje być z kimś, nawet ty.

- Mylisz się.

Powiedział to z takim przekonaniem, że zapragnęła mu uwierzyć. Ale nie mieściło jej się w głowie, że zamierzał resztę życia spędzić sam.

- Ostatniej nocy byliśmy bardzo blisko - powiedziała cicho.

- To był tylko seks.

- Tylko w takich kontaktach czujesz się bezpiecznie? W seksie? Wyglądał na szczerze rozbawionego.

- Nie sil się na psychoanalizę. To nic nie da. Mnie nie można złamać. Nie potrzebuję pomocy.

- Potrzebujesz w życiu dużo więcej niż tylko siebie. - Nie zamierzał jej uwierzyć. Spojrzała pod ścianę, gdzie w pudełku kotka lizała swoje młode. - Chcesz, żebym zadzwoniła do schroniska w sprawie kotów?

- Mogą tu zostać przez kilka tygodni. Poczytałem w Internecie i wiem, że po tym czasie otworzą oczy i nabiorą trochę samodzielności. Oddam je później.

Sercem pragnęła się ucieszyć z takiej zmiany, ale wiedziała, że mówił poważnie. Że to tylko na krótki czas.

- Czy chcesz... żebym ci przy nich pomagała? Mogę wpadać tutaj, nakarmić je... i w ogóle.

- Dam sobie radę.

Było coś w jego głosie, co sprawiło, że promyk nadziei rozjaśnił jej duszę.

- Będziesz miał coś przeciw temu, żebym przyjechała, zanim oddasz je do schroniska?

- Nie, ani trochę.

Chciała wierzyć, że jego słowa oznaczały więcej niż to, co powiedział, ale nie mogła.

- No, to pojedę już - oznajmiła.

- Przetawiłem twój samochód bliżej domu - poinformował ją, nie odrywając oczu od komputera. - Stoi przed samymi drzwiami.

- Dziękuję.

Zaniosła kubek po kawie do kuchni i umyła. Zabrała torebkę.

- Do zobaczenia - powiedziała.

- Do widzenia.

- Cześć. - Otworzyła drzwi i zawahała się. - Chcesz numer
mojego telefonu?

Podniósł oczy i spojrzał jej prosto w twarz. Gorączkowo
usiłowała dopatrzeć się w nich ognia, który widziała tam wcześniej.
Ale bez skutku.

- Nie, nie chcesz - wyszeptała. I wyszła.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kane zakończył prezentację planu ochrony nowych nieruchomości firmy. Todd i Ryan popatrzyli po sobie.

- Postaraj się nie angażować nas więcej w to przedsięwzięcie - powiedział Ryan. - To strasznie trudne.

Kane pobiegł wspomnieniami do Afganistanu. Spędził tam dwa miesiące na naprawdę niebezpiecznej misji. W porównaniu z tamtym aktualne zadanie mógł wykonać z zamkniętymi oczami. - - To nie jest takie skomplikowane - zaprzeczył. - Dam sobie radę. Wszyscy będziemy bezpieczni, jeśli tylko każdy będzie postępował zgodnie z procedurami.

- A jeśli nie? - spytał Todd z uśmiechem.

- Wtedy będzie miał ze mną do czynienia - rzucił Kane. Todd spojrzał na Ryana.

- Właśnie za to go lubię. -I ja też.

Todd odwrócił się do Kane'a.

- Słyszałem, że wczoraj było w domu jakieś zamieszanie.

Wystarczy, że wyjadę na jeden dzień i już wszystko się sypie?

Przed oczyma Kane'a przeleciały jak błyskawica obrazy. Willow w jego łóżku. Jej rozpalone ciało. Jej lśniące oczy.

Jej włosy rozsypane na poduszce. Poczul ucisk w żołądku. Z trudem odegnał atakujące go wizje. Było, minęło. Koniec historii.

A jednak nie dawało mu spokoju pytanie, dlaczego z nim została? Gotów był postawić cały swój majątek, że ona kierowała się

w życiu głosem serca. Dlaczego się więc zdecydowała na taką przygodę?

- To była Willow - powiedział Ryan. - Julie opowiedziała mi wszystko wczoraj wieczorem. Najwyraźniej Willow nadal jest wściekła, że się wtrącałeś w sprawy moje i Julie.

Todd skrzywił się.

- Nie wtrącałem się. Po prostu troszczyłem się o przyjaciela. Jesteś teraz szczęśliwy... Koniec sprawy. - Zwrócił się do Kane'a. - Powiniennem się bać?

- Myślę, że sam sobie z nią poradzę. - Kane się uśmiechnął.

- Nie o to mi chodzi. Czy jest wściekła?

- Nie. Chciała cię tylko zwymyślać, że się mieszałeś w sprawy jej siostry.

- Pieniądze - mruknął Todd. - Gdyby ciocia Ruth nie obiecała swoim wnuczkom miliona dolarów za małżeństwo ze mną, nie zdarzyłoby się nic podobnego.

- Nie wiedziałem, że szukasz żony. - Kane wysoko uniósł brwi.

- Nie szukam. - Todd westchnął ciężko. - Ciocia Ruth jest drugą żoną naszego wuja. Miała córkę, która w wieku siedemnastu lat uciekła z domu i wyszła za mąż. Ruth i nasz wuj zerwali z nią wszelkie kontakty. Kilka miesięcy temu wuj zmarł. A Ruth, która bardzo tęskniła za córką, odszukała ją. I okazało się, że ma trzy wnuczki, o których nigdy nie słyszała. Wtedy zaległa się w jej głowie myśl, że byłoby wspaniale, gdyby któraś z jej wnuczek wyszła za mnie. Zaoferowała milion dolarów tej, która to zrobi. Wyobrażasz

sobie, jakie to poniżające? - spytał Ryana. - To tak, jakby ona musiała zapłacić, żeby któraś zechciała mnie poślubić.

Ryan uśmiechnął się szeroko.

- To nawet całkiem zabawne - powiedział.

- Tak mówi facet, który zaraz będzie się żenił.

- Umówiłem się na pierwszą randkę, żeby wybić to siostronom z głowy - powiedział Ryan do Kane'a. - Spotkałem się z Julie i po pewnych komplikacjach zaręczyliśmy się.

Kane wiedział także, że Julie była w ciąży, ale nie powiedział nic. Szef ochrony musi być dyskretny.

- No, to wszystko w porządku - powiedział Todd. - Willow powinna nam już dać spokój.

- Nie sądzę, żeby wróciła - powiedział Kane. - Ale zdarzyło się to i owo. - Opowiedział o pogoni w lesie i zwichniętej nodze. Tylko o kotach i seksie nie wspomniał.

Obaj szefowie wpatrywali się w niego wielkimi oczami.

- Chyba nie zostawiłeś jej tam, prawda? - spytał Todd.

- Zabrałem ją do domu i obłożyłem nogę lodem.

- Do swojego domu? - upewnił się Ryan. - Tak.

- Zwykle nie zapraszasz do siebie nikogo - zauważył Todd.

- Nie zaprosiłem Willow. To był wypadek. - To była prawda.

Chociaż chyba nie tłumaczyło to tego, co robił w nocy... i nad ranem.

Willow stanowiła nie lada pokusę. Ale przecież powinien był wytrwać. Chociaż... Było w niej coś...

- Uważaj - powiedział Ryan z uśmiechem. - Kobiety Nelsonów są bardzo skomplikowane. Kiedy najmniej się tego spodziewasz, potrafią wtargnąć w twój świat i wywrócić go do góry nogami.

- Ja się nie boję - powiedział Todd zuchwale. - Nie ożenię się z żadną z nich. Będą musiały gdzie indziej poszukać swoich milionów.

- Miałem na myśli Kane'a - wyjaśnił Ryan. - Willow jest bardzo ładna.

- Zainteresowany? - Todd spojrzał na Kane'a. Nie tak, jak myślisz, pomyślał Kane.

-Nie interesują mnie żadne związki. Nie martw się o mnie.

Odeszła i nigdy już jej nie zobaczy. I tak właśnie powinno być. Lecz wciąż nie mógł wymazać z pamięci jej uśmiechu. Gładkości jej skóry. Jakby była melodią, której nie można od siebie odegnąć.

Willow zjawiała się w sobotę rano. Bez uprzedzenia, bo nie знаła numeru telefonu Kane'a. Szukała w książce telefonicznej, szukała w Internecie - nic. Jakby w ogóle nie istniał.

Ale ona wiedziała, że istniał naprawdę. Ulotny i zapewne niebezpieczny dla jej pamięci, ale jak najbardziej realny. Interesująca kombinacja kontrastów. Człowiek twardy, który potrafi być delikatny i czuły. Człowiek bogaty, który wybrał życie samotnika.

Wmawiała sobie, że powinna o nim zapomnieć. Nie udało się. Wystarczyło, że zamknęła oczy i natychmiast widziała jego obraz. Czowała jego dotknięcia. Ostatniej nocy nawet śniła o nim.

Licząc się z najgorszym, zabrała z siedzenia obok torbę i wysiadła z samochodu. Kiedy była w pół drogi, drzwi jego domu się otworzyły.

Miał na sobie dzinsy i flanelową koszulę. I wyglądał wspaniale.

- Wróciłaś - stwierdził obojętnym głosem.

- Przyjechałam zobaczyć koty, nie ciebie. - Uśmiechnęła się.

Miała nadzieję, że nie wyczuje kłamstwa. - Nie musisz wpadać w panikę.

- Nie wpadam w panikę. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Myślę, że nieźle byś się spocił po kilku dziewczęcych sztuczkiach. Chcesz się przekonać?

- Raczej nie.

- Tak myślałam. - Mocniej ścisnęła torbę. - Powinnam była zatelefonować wcześniej, ale nie zostawiłeś mi swojego numeru. Nie musisz udawać, że nie zrobiłeś tego specjalnie. Ja to wiem. Bałeś się, że urządzę polowanie na ciebie.

- Nie boję się ciebie.

- A powinienes. - Podeszła bliżej. - A teraz wpuść mnie do środka.

Ryzykowała, ale nie miała innego wyjścia. Po krótkim wahaniu Kane zrobił jej przejście.

Gdy weszła do salonu, zewsząd opadły ją wspomnienia. Poczowała mrowienie. Odwróciła się ku niemu, żeby się nimi z nim podzielić, lecz nie powiedziała ani słowa.

Na twarzy Kane'a dostrzegła tylko uprzejme zainteresowanie.
Nic więcej. Nie było wesołości, ognia, pożądania... Nic.

Wcale nie żartował, kiedy mówił, że to tylko na jedną noc,
pomyślała smutno.

Rzuciła torbę na kanapę i podeszła do pudełka. Kocięta tuliły się
do zwiniętej kocicy. Kiedy Willow się zbliżyła, zamruczała głośno.

- Witaj, maleńka - powiedziała Willow. - Jak się masz? Ależ te
maluchy urosły.

Kocica otarła się łebkiem o jej dłoń.

- Dobrze je? - spytała.

- Moim zdaniem za dużo - odparł Kane. - W drugą stronę też
załatwia wszystko regularnie.

- Uśmiechnęła się.

- Przynajmniej wiemy, że jest zdrowa. To już coś. Wymyśliłeś
jej już imię?

- Nie mam zamiaru.

- A powinieneś. Ona musi mieć tożsamość.

- To przybłęda.

Willow usiadła na dywanie i przyjrzała mu się uważnie.

- Każdy zasługuje na to, żeby mieć imię - powiedziała.

- Dobrze. - Zacisnął usta. - Ty ją nazwij.

- Zgoda. - Popatrzyła na zwierzę. - Może Muffinka.

- Nie Muffinka.

- Dlaczego.

- Nie jest ciastkiem. Nie możesz nazwać kota tak jak coś do jedzenia.

Z trudem ukryła uśmiech.

- To może Kizia.

Dziwny dźwięk wydobył się z krtani Kane'a.

- Nie - warknął po chwili.

- Przecież sam mówiłeś, że to nie twój kot. Dlaczego się znowu sprzeciwiasz?

- Mieszka w moim domu. Będę musiał ją wołać po imieniu.

Kizia nie.

- Jaśmina? Śnieżynka? Księżniczka Leia?

- Księżniczka Leia?

- Jestem miłośniczką „Gwiazdnych wojen”. Wolę trzy pierwsze części, ale następne też nie są złe.

- Dobrze wiedzieć. Mogę mieszkać z Jaśminą.

- Nie ze Śnieżynką?

- Nie jest biała.

- Śnieg bywa szary.

Znowu coś się zagotowało w jego krtani.

- Zatem Jaśmina - stwierdziła i wstała. - Cześć, Jaśmino. Witaj w rodzinie. - Zanim Kane zdołał sprostować, że nie byli rodziną, chwyciła torbę i poszła do kuchni. - Upiekę ciasteczka.

- Tutaj? W mojej kuchni?

- Dokładniej w twoim piecyku. - Nastawiła temperaturę. - Moje zdolności pieczenia za pomocą energii psychicznej nie są jeszcze dostateczne.

- A jeśli nie lubię ciasteczek? Popatrzyła nań przeciągle.

- Wszyscy lubią ciasteczka. Z kawałkami czekolady. Jak ich nie lubić?

Wyciągnęła z torby blaszkę do pieczenia i paczkę półproduktu. Musiała tylko połamać ciasto na kawałki, ułożyć na blasze i włożyć do piekarnika. Krótka robota.

Kiedy skończyła, oparła się o blat i popatrzyła na Kane'a. Wyglądał wspaniale... Zbyt wspaniale. Jakże chciała, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Marzyła, że potajemnie jej pragnie. Gdyby dostrzegła w jego oczach choćby cień takich uczuć, uczepiłaby się tej nadziei.

Wiedziała także, że gdyby tylko zechciał wyrzucić ją z domu razem z tymi ciasteczkami, nie zawahałby się ani chwili. Lecz nie zrobił tego.

- No? - odezwała się. - Co słyszeć?

- To nic nie da. -Co?

- Nie namówisz mnie na coś trwałego.

- Domyślam się. A ciastka robię, bo staram się być uprzejma.

Przyglądał jej się ponuro. Czuła ciężar tego spojrzenia.

- Czemu to zrobiłaś? - spytał. - Czemu poszłaś ze mną do łóżka?

Jasno przedstawiłem ci moje zasady. A ty nie jesteś taka.

Westchnęła.

- Rozpustna, chciałeś powiedzieć? Nigdy wcześniej nie zrobiłam czegoś podobnego. Seks, tak. Kilka razy. Ale spotkać chłopaka i zaraz wskoczyć mu do łóżka. Nigdy. Myślę, że to wskutek utraty krwi. Mój mózg nie pracował prawidłowo.

Na krótką chwilę uśmiech zagościł na jego wargach.

- Nie byłaś rozpustna. I nadal chciałbym się dowiedzieć, dlaczego to zrobiłaś.

- Wprawiam cię w zakłopotanie? - spytała. Miała nadzieję, że tak, bowiem zakłopotanie niewiele się różni od zaciekawienia.

- Trochę. Wiem, że jest coś, czego nie umiem dostrzec. Właśnie! Czekał. Wyprostowała się. Skrzyżowała ramiona.

- Trochę to krępujące - powiedziała.

- Nie będę się śmiał.

Nabrała powietrza. Był wobec niej szczery. Jasno powiedział, czego chciał, a czego nie. Może i ona powinna mu odpłacić szczerością?

- Pragnąłeś mnie - zaczęła. - Lubiłam cię i zaufałam ci. Przy tobie czułam się bezpieczna. Ale to twoje pragnienie sprawiło, że posunęłam się tak daleko.

Zmarszczył się.

- Każdy facet, który się tobą zainteresuje, może cię mieć?

Roześmiała się.

- Nie. Chyba nie. Nie wiem. Żaden dotąd mnie nie pragnął.

- Już to mówiłaś. Ale to bzdura. Pragną cię. Spójrz do lustra.

Jesteś piękna i wesoła. Troszkę dziwna, ale nie zwariowana.

Komplementy? Zanim jeszcze dostał ciasteczka? Chciała się nimi podelektować trochę, ale Kane wyglądał na zniecierpliwionego.

- Jestem najlepszym przyjacielem - powiedziała. - Faceci zwierają mi się, opowiadają o swoich kłopotach. Ja im pomagam. Wtedy odchodzą i zakochują się w innych. Długo nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Aż kilka lat temu znalazłam się na przyjęciu. Usłyszałam rozmowę kilku chłopaków. Byli dobrze wstawieni. Opowiadali sobie, z którą z dziewczyn na przyjęciu chcieliby się przespać.

Kiedy rozmowa zeszła na mój temat, wszyscy powiedzieli, że mnie lubią, że jestem słodka, ale nie jestem z tych, z którymi chcieliby... No wiesz.

Dotychczas było łatwo. Wyjrzała przez okno, żeby dodać sobie odwagi.

- Wyszedłam z jednym z nich i... byliśmy razem. To był mój pierwszy raz. Myślałam, że byliśmy zakochani. Ale wtedy on zerwał ze mną i nigdy nie wyjaśnił dlaczego. Tamtej nocy powiedział, że przespał się ze mną, bo był mi to winien. Wyświadczył mi grzeczność.

Wciąż bolało. Nie tak mocno jak niegdyś, ale dosyć, żeby brakło jej tchu.

- Drugi chłopak, z którym byłam, pięknie mówił. Ale po naszym pierwszym razie nie był już więcej zainteresowany seksem. Powiedział, że to przeze mnie. Że nigdy nie miał kłopotów z kobietami.

- To nie była twoja wina - powiedział Kane stanowczo.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Willow, widziałem cię nagą. Dotykałem cię. Gdzie tylko można. Całowałem cię i smakowałem. I miałem cię w ramionach aż do końca. To nie była twoja wina.

Był taki dobry. Więcej niż dobry. Dał jej zranionej duszy odrobinę ciepła.

- Ale tamci chłopcy... mówili... Kane potrząsnął głową.

- Jesteś osobą skomplikowaną. Chłopcy, zwłaszcza młodzi, wolą rzeczy proste. Wystraszyłaś ich. Albo opiekowałaś się nimi tak bardzo, że traktowali cię jak matkę. Ale to nie ma nic wspólnego z tobą.

-Ale...

Przerwał jej surowym spojrzeniem.

- Czy ja udawałem? Uśmiechnęła się.

- Nie. Bardzo jasno okazałeś, czego chcesz.

- Czego chciałem?

- Mnie? - pisnęła cichutko.

- Ciebie. Więc daj już spokój. Jesteś w porządku.

Ach, gdybyś tak jeszcze mnie zechciał, pomyślała. Ale co do tego nie pozostawił jej złudzeń. Jedna noc. Postanowiła nie ryzykować i zmieniła temat.

- Jak się ma Todd? - spytała.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Tak pytam, żeby podtrzymać rozmowę. Wie, że tu byłam?

- Powiedziałem mu. Roześmiała się.

- Przestraszył się? - spytała. -Nie.

- Nie mogłeś mu powiedzieć, że byłam naprawdę groźna?

-Nie.

- Typowe. Myślę, że nic mu nie grozi. Julie i Ryan są tak szczęśliwi, że nie jest w stanie im tego zepsuć. Szkoda więc mojej energii na wygrażanie mu.

- Zamierzasz się z nim umówić na randkę?

- Słucham?

- Wiem o milionie dolarów.

No tak. To prawdziwa fortuna, pomyślała.

- Moja babcia to bardzo interesująca kobieta - powiedziała. - Nie mam pojęcia, dlaczego zrobiła coś tak dziwnego, ale teraz wszyscy musimy z tym żyć. Ja nie mam zamiaru wychodzić za mąż dla pieniędzy.

- To duża suma.

- Wierzę w miłość. I w to, że przeznaczony mi jest ktoś, kogo pokocham. Pieniądze nie mają znaczenia.

Pokręcił głową.

- Pieniądze zawsze mają znaczenie - powiedział.

- To cyniczne i smutne.

- Realistyczne.

- Nigdy nie byłeś żonaty, prawda?

- Nie uznaję trwałych związków, zapomniałaś?

To jest bardziej niż smutne, pomyślała. To jest tragiczne.

- Musisz się z kimś związać.

- Dlaczego?

- Ludzie tacy są. Jesteśmy sumą naszych doświadczeń i związków. Nie powiesz mi, że jesteś całkiem szczęśliwy, żyjąc samotnie.

- Jestem, ale i tak mi nie uwierzysz.

- Kane, bądź poważny. Nigdy nie chciałeś czegoś więcej?

Podszedł i stanął tuż przed nią. Stał tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. Tak blisko, że widziała wyraźnie barwne iskierki w jego oczach. Tak blisko, że zaczęła się zatracać w pragnieniach.

- To nic nie da - powiedział cicho. - Możesz mnie tu czarować do woli, to i tak niczego nie zmieni.

- Czarować? Wcale cię nie czaruję.

- Owszem, tak. Ale nie skusisz mnie. Minęło. Nic nas nie łączy i nie będzie łączyć w przyszłości. To była wspaniała noc. Może najwspanialsza. Ale to nie może się zdarzyć. Nie pozwolę ci wejść w moje życie.

Otworzyła usta. I zamknęła je bez słowa. Wciąż jej pragnął. Widziała to w jego oczach. Było w nich pożądanie. Ale i determinacja. Była poruszona i wstrząśnięta.

- Dlaczego? - spytała. - Co jest takiego strasznego w związku z drugim człowiekiem?

- Nie ufam nikomu. Wcześniej się nauczyłem, że każdy dba tylko o siebie. Że mogę polegać tylko na sobie.

Mylił się. I to bardzo. Ale nie wiedziała, jak go przekonać.

- Co ci się przydarzyło? - spytała.

Może rodzice znęcali się nad nim? Może umarł jego przyjaciel? Poczowała na sobie jego ponure spojrzenie i zrozumiała, że nie spodoba jej się to, co miał jej do powiedzenia.

- Kiedy byłem dzieckiem, żyłem na ulicy. Żeby przeżyć, przyłączyłem się do gangu. To była moja rodzina. Kiedy miałem szesnaście lat, moja dziewczyna zakochała się w chłopaku z wrogiej bandy. Ukrywała to. Żeby dowieść mu swojej lojalności, wystawiła mnie. Zostałem postrzelony trzy razy i zostawiony na śmierć przez jedyną osobę, którą kochałem.

- Jak to „na śmierć”? - spytała Marina i podsunęła Willow koszyk z ciasteczkami.

- Jej chłopak postrzelił Kane'a i odjechał. Ktoś wezwał karetkę i jakoś go uratowali. - Willow wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Widziała jednak blizny.

Siostry spotkały się na lunchu niedaleko biura Julie. Był to jeden z tych jesiennych dni, kiedy ludzie ze śnieżnej krainy zaczynają myśleć o przeprowadzce do Los Angeles.

- Wiem, co myślisz - powiedziała Marina. - Że możesz go ocalić. Nie rób tego - dodała. - On jest inny niż ci, których dotychczas ratowałeś. On jest niebezpieczny.

I dlatego jest taki atrakcyjny, pomyślała Willow.

- Jest samotny - powiedziała. - Myślę, że potrzebny mu ktoś, kto by się nim zaopiekował.

Marina pokręciła głową.

- Niech zgadnę. Zgłaszasz się na ochotnika. Willow, mężczyźni czasami naprawdę myślą to, co mówią. On nie chce się z nikim wiązać. Nie zmienisz tego.

- Gdyby się tylko odważył, zaryzykował, mógłby bardzo poprawić sobie życie - powiedziała Willow.

Julie dotknęła jej ramienia.

- Wiesz, że cię kocham i zawsze będę z tobą. Bez względu na wszystko. Ale dlaczego robisz to sobie? Zawsze się wpędzasz w tarapaty.

- Taka już jestem - odparła Willow. - Zawsze chcę czegoś innego. Chcę, żeby jakiś chłopak pokochał mnie i chciał zostać ze mną na zawsze. Może Kane jest tym chłopakiem?

- A może zdepcze ci serce - powiedziała Julie cicho. - Nie chcę znów patrzeć na twoją rozpacz.

- Wiem.

Willow naprawdę nie miała szczęścia do mężczyzn. Zakochiwała się w tych, którzy nie byli nią zainteresowani. Ratowała ich, a oni odchodzili do innych.

- Teraz jest inaczej - powiedziała.

- Czyżby? - spytała Julie. - Niby jak? Nie, czekaj. Nie odpowiadaj. Czy zastanowiłaś się kiedykolwiek nad tym, że zawsze się wiązałaś z mężczyznami, których nigdy nie mogłaś mieć i dlatego nigdy nie ryzykowałaś, że się zakochasz? Mówisz, że marzysz o życiu długim i szczęśliwym, ale wygląda na to, że robisz wszystko, żeby nigdy do tego nie doszło.

- Wcale nie - zaprotestowała Willow słabo. Marina westchnęła.

- Tym razem muszę się zgodzić z Julie - powiedziała. - Unikasz normalnych mężczyzn. Takich, którzy chcą się ożenić i mieć dzieci.

Willow otworzyła usta i... zamknęła je. Bardzo chciała im powiedzieć, że są w błędzie. Że wcale taka nie była. No, może kiedyś.

I nagle... Znow miała siedemnaście lat. Stała na środku swojego pokoju i szykowała się na randkę. Właśnie kończyła się czesać, kiedy wszedł ojciec. Była to sytuacja wyjątkowa, bowiem rzadko bywał w domu. Wciąż pamiętała, że odłożyła szczotkę i zakreśliła się na pięcie.

- Co myślisz, tato? Jestem dość ładna? Ojciec przyglądał jej się długą chwilę.

- Nigdy nie będziesz taka bystra i ładna jak twoje siostry, ale jestem pewien, że znajdziesz sobie kogoś, komu będzie na tobie zależeć. Tylko nie przebieraj za bardzo, dziecko.

Jego słowa zraniły ją do głębi. Poszła na randkę, ale z tamtego wieczora nie zapamiętała niczego. Słowa ojca dźwięczały jej w uszach przez cały czas. Ból w sercu odbierał oddech.

Prędko zrozumiała, że Marina i Julie są ładniejsze od niej, i że musi pracować w szkole znacznie ciężiej, żeby dostać lepsze oceny. Ale nigdy się tym nie przejmowała. Aż do tej chwili sądziła, że jest wyjątkowa.

Ale skoro jej własny ojciec uważał, że jest inaczej, może rzeczywiście się myliła? Nigdy później już się nie czuła wyjątkowo... Aż do nocy z Kane'em.

- Willow? - Marina nachyliła się ku niej. - Dobrze się czujesz?

- Wszystko w porządku. - Odetchnęła głęboko, żeby ukoić ból. -
Macie rację. Obie. Unikam zwyczajnych chłopców, bo się boję, że się
zakocham i zostanę odrzucona. Co mi przyszło do głowy? Że ułożę
sobie życie z Kane'em? To niemożliwe. On nie chce mieć ze mną nic
wspólnego. Nie zamierzam się za nim uganiać.

- Dobrze się czujesz? - Julie zagryzała wargę. - Nie chciałam cię
urazić.

- Nie uraziłaś. Troszczysz się o mnie. To dobrze.

- Kocham cię - powiedziała Julie otwarcie.

- Ja też - dodała Marina.

Willow wiedziała, że mówiły szczerze, i to ukoilo jej ból.
Cokolwiek by się zdarzyło, zawsze mogła na nie liczyć. A co do
Kane'a... Miała zamiar zapomnieć o nim raz na zawsze.

Może czas już, żebym przestała chodzić z głową w chmurach i
zaczęła twardo stąpać po ziemi? Może powinnam poszukać jakiegoś
zwyczajnego chłopaka? Tylko jak wygląda normalny chłopak?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kane wszedł do domu i usłyszał miauczenie. Zazwyczaj kocięta były ciche. Spały prawie bez przerwy, przytulone do matki. Postawił neseser na kuchennym krześle i poszedł do salonu. Znalazł kocięta w pudełku, ale bez kotki.

Szybko przeszukał dom. Kocicy nigdzie nie było. Wtedy zauważył, że okno, które zostawił uchylone, było szeroko otwarte. Kotka wyszła.

Zaklął pod nosem. Popatrzył na piszczące w pudełku maleństwa. I co teraz? Czy kocica odeszła na dobre? Czy porzuciła swoją rodzinę? Sięgnął po telefon i uświadomił sobie, że nie zna numeru.

Ale już w trzy minuty później stukał w klawisze telefonu. Nie na darmo jest się szefem ochrony i ma się dobry komputer.

- Halo?

Zmarszczył brwi. Głos brzmiał obco.

- Willow?

Coś było nie w porządku. Wcale go nie interesowało, co się stało, ale wiedział, że wypadało spytać. Daj spokój! Pomyślał chwilę potem.

- Tu Kane.

Usłyszał w słuchawce coś jak cichy szloch.

- Co się stało? - spytała głucho. Czyżby płakała? - Nie zadzwoniłbyś, gdyby się nie stało coś złego.

Powiedziała prawdę. Skąd więc to niemiłe poczucie winy?

- Kocica uciekła.

- Jaśmina? Kto to? A, tak.

- Jaśmina. Zostawiłem uchylone okno, żeby wpuścić do domu trochę powietrza. Musiała je otworzyć sobie szerzej i uciekła. Kocięta strasznie piszczą i nie wiem, co robić.

- Przede wszystkim nie zostawiać otwartego okna - powiedziała cicho. - Zaraz przyjadę.

Willow ze wszystkich sił starała się zapanować nad sobą. Nie umiała ładnie płakać. Delikatne łezki nie spływały jej cienkimi strumyczkami po bladych policzkach. Kiedy płakała, dostawała plam na twarzy, oczy jej puchły i ciekło jej z nosa. A najważniejsze było, żeby Kane nie pomyślał, że płakała przez niego.

Zatrzymała auto i ostatnią chusteczką wytarła twarz.

Wydmuchała nos i odetchnęła głęboko. Nie zważała na swój wygląd. Ważne było tylko, żeby odnaleźć Jaśminę.

Wysiadła z samochodu i miała zacząć nawoływać, gdy zwierzę, miaucząc, wyszło z krzaków.

Willow kucnęła i pogłaskała je.

- Potrzebujesz trochę samotności od czasu do czasu, co? - spytała. - Dzieciaki trochę ci dokuczyły?

Jaśmina miauknęła i otarła się o rękę Willow.

Otworzyły się drzwi. Willow się wyprostowała. Na widok Kane'a serce zaczęło jej bić mocniej. Wyglądał wspaniale. Duży i silny, jakby gotowy zawładnąć całym światem.

- Wróciła - powiedziała, wskazując Jaśminę. - Myślę, że chciała po prostu trochę odpocząć. - Próbowałeś otworzyć drzwi i ją zawołać?

- Ach, nie. Nie pomyślałem o tym. Nie znam się na zwierzętach.

- To widać.

Kane przyglądał się to jej, to kotu. Zakołysał się na piętach. Zauważyła, że było mu głupio. I dzięki temu poczuła się lepiej.

- Myślę, że powinieneś sprawdzić okna - powiedziała. - Poza tym chyba byłoby dobrze wypuszczać ją każdego ranka, żeby trochę odpoczęła. Wychowywanie trójki kociąt musi być wyczerpujące.

- Dobrze. Dziękuję. Tak zrobię.

Patrzył na nią w skupieniu. Nie wiedziała, o czym myślał, ale nie dbała o to. Wciąż cierpiała. Została odrzucona. I to w chwili, gdy nie była na to przygotowana.

- Wejdiesz? - spytał.

- Zostały jeszcze ciasteczka? Pokiwał głową.

- Dobrze. - Może czekolada pomoże? -

Weszli do środka. Jaśmina podbiegła do pudełka i zabrała się do wylizywania kociąt. Gwałtowne początkowo miauczenie powoli cichło. Wszystko wróciło do normy.

- Usiądź. - Kane wskazał kanapę.

Usiadła i rozejrzała się po pokoju. Czowała się dziwnie. Obiecywała sobie, że już nigdy się z nim nie zobaczy. A jednak stało się inaczej. Wodziła za nim wzrokiem i czuła przebiegające po plecach ciarki.

Po chwili Kane wrócił z talerzem pełnym ciasteczek i butelką wody.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Ciasteczka i woda? Wiesz, jak postępować z dziewczynami.

- Przepraszam. Nie mam nic innego do picia.

- W porządku.

Łza spłynęła jej po policzku. Pozostałe przełknęła z trudem.

- Czy masz... hm... chusteczki?

- Oczywiście.

Wybiegł z pokoju. W innych okolicznościach jego przerażenie byłoby nawet zabawne. Ale nie tym razem. Kiedy wrócił, wytarła twarz.

- Nie musisz się bać - powiedziała. - To nie przez ciebie.

- Bać się?

- Wiesz, co mam na myśli. Nie płaczę z twojego powodu.

Straciłam mój kontrakt na komiksy. - Wystarczyło, że powiedziała to głośno i znów zaczęła szlochać.

- Bez żadnego ostrzeżenia. Myślałam, że wszystko idzie wspaniale. Aż tu nagle telefon z gazety, że rezygnują ze mnie. Że dostają wiele listów, że mój komiks nie jest śmieszny.

Kane krążył po pokoju, jakby nie wiedział, gdzie usiąść.

- Były tam trzy bohaterki, trzy cukinie. Dziewczyny.

Przyjaciółki. Spotykały się, chodziły razem na zakupy. Coś jak „Seks w wielkim mieście” tylko bez seksu. I bez miasta. Moje bohaterki mieszkały na farmie. Ale nie takiej prawdziwej. Było tam centrum

handlowe i restauracje. Umawiały się na randki z innymi znajomymi-warzywami. Było zabawnie.

Schylła głowę. Łzy popłynęły jej z oczu szerokim strumieniem.

- Jak ludzie mogą tego nie lubić? Tak ciężko nad tym pracowałam.

To było straszne. Wkładała w te komiksy całą siebie.

- Czy możesz sprzedać to gdzie indziej?

- Chyba nie. Drukowali to przede wszystkim w pismach dla wegetarian. Wiesz, w kolorowych tygodnikach. Czasem brały to jakieś pisma ekologiczne, bo dziewczyny propagowały naturalny styl życia.

- Cukinie? Kiwnęła głową.

- To nie były jakieś wielkie pieniądze. Ale zawsze. Honoraria za komiksy i pieniądze ze sprzedaży świec wystarczały mi na życie.

- Sprzedajesz świece?

- Mhm. - Załkała. - Wiem, że nie jestem jak moje siostry, ale nie skarżę się na życie. Miałam swoje świece i swoje bohaterki. Ale to już koniec. I nie wiem, co mam teraz robić. A jeszcze dzwonią i mówią, że to nie było śmieszne i że ludziom się nie podobało. I do widzenia. Ot, tak. Nie, że bardzo im przykro, że wiedzą, jak ciężko pracowałam. Masz pojęcie, ile godzin w tygodniu nad tym ślęczałam? Mnóstwo.

Kane usiadł na kanapie.

- Bardzo mi przykro - powiedział.

- Dziękuję. Ale to nie chodzi o ciebie. Tylko że wszystko zważyło się na mnie w jednej chwili. Kilka dni temu jadłam lunch z moimi

siostrami. Powiedziały, że unikam normalnych mężczyzn, bo się boję prawdziwych związków. I myślę, że mają rację. Poniosłam porażkę i jestem załamana.

- Nie poniosłaś porażki. To tylko chwilowe niepowodzenie.

Omów nie parsknęła śmiechem.

- Niepowodzenie? To klęska. Koniec mojej kariery. Czy wiesz, że moja siostra Julie zdała egzamin adwokacki za pierwszym razem? Pracuje w wielkiej, międzynarodowej firmie prawniczej i niedługo wejdzie do zarządu. Moja młodsza siostra, Marina, jest taka mądra, że w wieku piętnastu lat zdała maturę, została przyjęta na uniwersytet i dostała pełne stypendium. Skończyła trzy kierunki, w tym chemię i fizykę. Nawet nie umiem ich dokładnie nazwać. Jeden chyba z chemii nieorganicznej, ale nie wiem, co to jest. Jaki wstyd! Wszystkie ważne uczelnie błagały, żeby chciała u nich pracować. Błagały! Przyjeżdżali nawet do domu. A wiesz, co ona teraz robi?

Wbiła w niego wzrok.

- Wiesz? Pokręcił głową.

- Zostawiła uczelnię na kilka lat i jest tłumaczem języka migowego. Specjalizuje się w tych dziedzinach, które sama studiowała. Pomaga innym. Jest dobrym człowiekiem. A ja nie potrafię nawet sprzedać komiksu o cukiniach. Obie moje siostry są mądre i ładne. Ja nie mogę się z nimi równać.

Kane miał wrażenie, że zapadał się do siódmego poziomu piekieł. Niemal czuł ból, który dręczył Willow. Zupełnie nie wiedział, co powiedzieć.

- Jesteś śliczna - bąknął.

- Och, proszę. Powiedziałeś, że jestem chuda. - Wydmuchała nos i sięgnęła po kolejną chusteczkę.

Zduślił w ustach przekleństwo.

- Tak, ale miałaś rację - powiedział. - To była wina swetra, że tak wtedy wyglądałaś. A przecież masz wspaniałe... - Uniósł ręce i opuścił je bezradnie. - Jesteś ponętna. Pragnąłem cię, pamiętasz?

Zwróciła ku niemu czerwone, zapuchnięte od płaczu oczy.

- Pragnąłeś. Czas przeszły. Na jedną noc. Powiedziałeś, że tak będzie. I miałaś rację. Byłam dobra na jeden raz i już cię nie pociągam.

Czy nie mogłaby go po prostu zastrzelić? Mniej by bolało. Miał wrażenie, że znalazł się na ruchomych piaskach. Im mocniej się szarpał, tym bardziej się zapadał.

- Nie martw się - powiedziała. - Nie pragnę cię teraz. Nie chcę seksu z litości.

-Ja... Ty...

Kolejny potok łez spłynął jej po policzkach.

- Cholera, Kane. Powinieneś teraz pozalecać się do mnie, żebym cię mogła odtrącić. To by było uprzejme z twojej strony.

I rozplakała się na dobre. Szlochała gwałtownie. A Kane kompletnie stracił głowę. Nie wiedział, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Powinien zapewne coś powiedzieć, ale nie potrafił znaleźć słów.

Kobiety przechodziły przez jego życie bez śladu. Znał ich ciała, ale nie miał pojęcia o ich duszach i sercach. Willow cierpiała. Widział to, lecz nie potrafił temu zaradzić.

Powoli, niezdarnie, otoczył ją ramieniem. Obróciła się do niego i wtuliła mu twarz w ramię. Objął ją mocno, przytulił. Nie wiedział, co powiedzieć, więc trwali tak w milczeniu.

- Będę miała przeprawę z siostrami - powiedziała cicho.

- Dlatego, że tak to sobie zaplanowałaś na ten tydzień? - Miał nadzieję, że uśmiechnęła się choć trochę.

- Dlatego, że ma przyjechać tata. Mama zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem. Kiedy przyjeżdża, Julie staje się krytyczna i zła. Długo go nie było. Mama jest zadowolona. Kochają się... A przynajmniej ona jego kocha i twierdzi, że ma to, czego pragnie. Ja jej wierzę, Julie - nie. Mówi, że mama potrzebuje czegoś więcej niż męża, który się zjawia raz czy dwa razy w roku, zostaje na kilka miesięcy i znika.

- Dokąd wyjeżdża?

- Nie wiem. Żadna z nas nie wie. Zawsze tak robił. Marina akceptuje go bez wahania, Julie ani trochę. Obie są stanowcze. Ludzie powinni być stanowczy.

Przesunął między palcami kosmyk jej włosów. Był chłodny, jedwabisty i piekielnie podniecający.

- Dlaczego? - spytał. Zachichotała.

- Bo to zapewnia porządek. Jestem średnim dzieckiem i spadło na mnie to przekleństwo, że widzę obie strony. Irytuje to mnie i wszystkich dookoła.

Dotknął jej policzka. Zmusił, żeby na niego spojrzała. Jej oczy miały barwę Morza Karaibskiego. Nawet zapłakana była piękna. I nagle jej zapragnął. Gwałtowność tego uczucia przeraziła go.

- Kane, dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest. Chyba.

Co się ze mną dzieje? - pomyślał. Miał ją przez jedną noc i... wystarczy.

- Lubiałaś rysować komiksy? - spytał. Wzrok jej posmutniał.

- Oczywiście. To było zabawne i twórcze. Czasami przeszkadzały mi nagłe terminy. Trudno jest tak pracować z tygodnia na tydzień. Zazwyczaj się spóźniałam.

- Czy o tym marzyłaś? Myślałaś o tym od dziecka? Uśmiechnęła się.

- Nie. To nie były moje dziecięce marzenia.

- A co było?

Wyprostowała się. Wytarła twarz dłonią.

- Przepraszam, że tak się stało. Chciałeś tylko pomocy przy kocie, a ja pomoczyłam ci koszulę.

Dotknęła wilgotnego materiału. Żar podniecenia przeniknął go nagle aż do kości. Pohamował się z trudem.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Wiem. Tylko... to jest takie niepoważne. Julie robi wielkie rzeczy. Marina uratuje kilka osób, a może całą planetę. Ja nie jestem taka.

- A kto powiedział, że musisz być?

- Nie muszę, ale jeśli nie jestem, to czy wciąż należę do rodziny?

Chciał ukoić jej ból, chociaż właściwie nie pojmował jej problemów. Kobiety i ich uczucia stanowiły dlań wielką zagadkę, której aż do teraz nigdy nie chciał rozwiązywać.

- Zawsze będziesz częścią swojej rodziny - powiedział z przekonaniem. - Może gdybyś robiła to, na co masz ochotę, a nie to, co ci się wydaje, że powinnaś, nie miałabyś wrażenia, że jesteś inna. Zamrugła.

- To jest dobre. Czytujesz poradniki psychologiczne?

- Nie. - Skrzywił się.

- Tak myślałam. To nie w twoim stylu. Chciałabym... -Głęboko wciągnęła powietrze do płuc. - Uwielbiam rośliny. To, że są tak różne. Uwielbiam się nimi zajmować, doglądać, patrzeć, jak rosną. Szczególnie te trudne w hodowli. Są wspaniałe. Cudownie wyglądają i pachną. Mają całkiem różne osobowości.

Osobowości? Rośliny? Tylko spokojnie, pomyślał. To jest przecież Willow.

- Czasami, kiedy w ciągu jednej nocy się zmieniają, to jest jak magia - powiedziała. - Chciałabym otworzyć szkółkę roślin.

Urwała. Skuliła się, jakby w oczekiwaniu ataku.

- Głupie, prawda?

- To nie jest głupie - powiedział. - Czemu nie możesz tego zrobić?

- Nie mam pojęcia o prowadzeniu biznesu. Nie studiowałam. Nigdy nawet w takiej szkółce nie pracowałam. I potrzeba pieniędzy, że rozkręcić interes.

- Możesz wyjść za Todda. Milion dolarów to niezły kapitał na początek.

- Bardzo zabawne - warknęła.

Opadła na oparcie kanapy i uwięziła jego ramię na swoim karku. Ale jemu to wcale nie przeszkadzało.

- Dobrze, powiem poważnie. Podejmij pracę w szkółce i naucz się prowadzenia firmy. Zapisz się na uniwersytet, na kurs ekonomii.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Łatwo powiedzieć.

- A co w tym trudnego? Kiedy leżałem w szpitalu, odwiedził mnie żołnierz z biura rekrutacyjnego. Wtedy zrozumiałem, że to dla mnie szansa, żeby coś zmienić w życiu. Sfałszowałem więc metrykę i udawałem, że mam osiemnaście lat. I kiedy wyszedłem ze szpitala, zaciągnąłem się. Gdy sprawa jest ważna, robisz, co masz do zrobienia. To nie takie trudne. Willow, przecież zmusiłaś mnie, żebym zatrzymał kota. Mówię ci, że dasz sobie radę z własną firmą.

- Tak myślisz?

- Jestem pewien.

Uśmiechnęła się. Ciepło i serdecznie. Poruszyło go to tak bardzo, że zapragnął zerwać z niej ubranie i kochać się z nią na wszelkie możliwe sposoby.

Zamiast tego pochylił się i wziął ciasteczko.

Później, kiedy już został sam, popatrzył na kocicę. Miał wrażenie, że przyglądała mu się z wielkim zainteresowaniem.

- Nic sobie nie wyobrażaj - powiedział. - To przez ciebie zadzwoniłem po Willow. Ale to już się więcej nie zdarzy. Nie lubię jej. Nie lubię nikogo. Ciebie też.

Kot wolno opuścił powieki.

- Kiedy tylko twoje kocięta podrosną, odwiozę was wszystkich do schroniska. Żebyś wiedziała.

Kot znowu mrugnął powoli. Pokój wypełniło spokojne mruczenie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Willow wybrała jeden z leżących przed nią koralików i ostrożnie przykleiła do świecy, którą zrobiła poprzedniego wieczora. Z trudem powstrzymywała się od uśmiechu, gdy Kane wielkimi krokami krążył po jej małej kuchni.

Trzy kroki, ściana. I w drugą stronę. Proponowała, żeby usiadł, ale odmówił. Widziała, że był skrepowany, ale... trochę ją to nawet cieszyło. Jej mieszkanie musiało zrobić na nim takie wrażenie. Było bardzo dziewczęce. Pełne roślin, świec i naczynek z ziołowymi potpourri. Do tego marszczone firaneczki i wstążki. A na półkach kolekcja porcelanowych i szklanych jednorożców. Zdecydowanie nie było to miejsce dla Kane'a.

- Wyjeżdżam na dwa dni - powiedział. - Jestem pewien, że kotom nic się nie stanie, ale gdybyś mogła je nakarmić...

- Z przyjemnością. - Willow uśmiechnęła się do niego promiennie. - Dam im świeżą karmę, wyczyszczę kuwetę i trochę pogłaszczę. - Zawahała się. - To znaczy, że zostawisz mi klucz?

-Tak.

- Do twojego domu.

- Wiem.

Przykleiła kolejny koralik.

- To będzie tak, jakbyśmy mieszkali razem. Spojrzał na nią zdumiony.

- Nie mieszkamy razem.

- Nie powiedziałaś, że mieszkamy.

- Ale zasugerowałaś to. Doglądasz kotów, to wszystko. To ty nalegałaś, żebym je zatrzymał. W ogóle nie powinienem mieć kotów.

- Ale masz. Zacisnął usta.

- Zajmiesz się kotami i wyjdiesz. Nie szperaj w moich rzeczach.

- No wiesz?! - Udała oburzoną. - Jakże bym mogła? Czy kiedykolwiek naruszyłam twoją prywatną przestrzeń?

- Podać ci listę? Znam cię - mruknął. - Będziesz węszyć. Był uroczy, kiedy się tak złościł.

- Nie będę. Obiecuję.

- Chciałbym ci wierzyć.

- Hej, ja nie kłamię. Nie będę szperać po twoim domu.

- Będę wiedział, jeśli to zrobisz.

Chyba mówił prawdę. Na pewno znał jakieś sposoby.

- Daję słowo - obiecała. - Uroczyste. Możesz porobić, jakie chcesz, zabezpieczenia, ale to niepotrzebne. Uszanuję twoją prywatność.

Jeszcze raz zmierzył ją wzrokiem i położył klucz na blacie. Westchnęła.

- Wszystko się dzieje tak nagle. Myślałam, że nie będziesz się tak spieszył.

Popatrzył na nią groźnie.

A ona uśmiechnęła się szeroko.

- Nic na to nie poradzę - powiedziała. - Ale jesteś bardzo podatny.

- Wielkie dzięki. Wstała.

- Nie mam na myśli nic złego. Po prostu jesteś zabawny, kiedy się tak złościś.

- Wcale cię nie słucham.

- Nie możesz. To moje mieszkanie i ja tu rządę. Poza tym zainteresuje cię to.

Poszli do salonu. Podniosła ze stolika katalog.

- Spójrz. To jest semestr wiosenny naszego uniwersytetu.

Zamierzam się zapisać na ekonomię i zarządzanie. I zaczęłam już szukać pracy w ogrodnictwie. - Urwała, dla większego efektu. - W czwartek idę na rozmowę.

- To świetnie.

- Dziękuję. Nigdy nie myślałam, żeby to zrobić. Uważałam, że to niemożliwe. A tu proszę. I to wszystko dzięki tobie.

- Pokazałem ci tylko właściwy kierunek.

- Nie chcesz uznać swoich zasług? -Nie.

- W takim razie będę twoją dłużniczką. Zesztywniał.

- Denerwuję cię? - Uśmiechnęła się. - Nie miałam zamiaru.

- Owszem, denerwujesz mnie.

- No dobrze. Troszkę. Ale w jakże uroczy sposób. Musisz przyznać, Kane. Nigdy przedtem nie spotkałeś kogoś takiego jak ja. I coraz bardziej ci się podobam.

- Pewnie - mruknął i skrzyżował ramiona. - Widzę, że czujesz się lepiej. Znów pełna energii i pyskata.

- Pyskata. - Spodobało jej się to.

- Ale nie rób sobie nadziei.

- Wiem. Nie lubisz trwałych związków. - Przechyliła na bok głowę i przyjrzała mu się uważnie. - A co z przyjaciółmi? Nie masz żadnych?

- Nie.

- Ani rodziny, ani przyjaciół. - Jej dobry nastrój prysł.

- To najsmutniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałam

- powiedziała cicho. Czy to możliwe, żeby nigdy nikogo nie kochał? Żeby nikt nie kochał jego? Serce ścisnęło jej się boleśnie.

- Nawet o tym nie myśl.

- O czym?

- Dobrze wiesz. Lubię moje życie.

- Nigdy nie chciałeś czegoś więcej?

- Nigdy.

Mówił zdecydowanie, jakby ją chciał przekonać. Ale mu nie uwierzyła. Bez namysłu podeszła bliżej i objęła go. Wyciągnął ręce, ale jej nie dotknął. Zesztywniał.

- Nie potrzebuję tego, Willow.

- Ale może ja potrzebuję. Po prostu mnie przytul.

Długo to trwało. Już myślała, że nie posłucha. Ale w końcu poczuła na sobie jego ramiona. Stali bez ruchu. Willow słuchała jego oddechu, wdychała jego zapach, wczuwała się w ciepło i siłę jego

ciała. Był najniebezpieczniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała. A jednak to przy nim wciąż czuła się bezpieczna.

Głupstwa. Nie powinna tak myśleć. Ale czuła więź z Kane'em. Jakby jakaś jego część wołała ją.

Uniosła głowę i napotkała jego spojrzenie. Pożądanie, które dostrzegła, odebrało jej dech w piersiach. Wyobraźnia podsunęła gorące obrazy.

- Pragniesz mnie - wyszeptała. Natychmiast się odsunął.

- To nie ma znaczenia - rzucił. Żartowałeś?

- Oczywiście, że ma. To wspaniałe. Zróbmy to. Chwyliła go za rękę i spróbowała pociągnąć do sypialni, ale on ani drgnął. Obróciła się ku niemu.

- Co z tobą? - spytała.

- Mam swoje zasady.

- Jesteś uparty, a twoje zasady są głupie.

- To ty tak uważasz.

- Ale przecież mnie pragniesz - powiedziała. - Całkowicie mnie pragniesz.

- Owszem. I nie zamierzam nic z tym zrobić.

- Kane?

Ruszył ku drzwiom.

- Wrócę w czwartek wieczorem.

Odchodzi? Nic go nie obchodzi? Ona go nie obchodzi?

Ale tego pytania nie zamierzała mu zadać. Wciąż jeszcze nie zabił rana po tym, jak zrezygnowano z jej komiksów.

- Pewnie nie chcesz, żebym na ciebie czekała? -Masz rację.
Był samotnikiem... A to źle.

- Nigdy nie chciałeś wracać do kogoś? Do jasnego domu,
ciepłego posiłku i kogoś, kto byłby szczęśliwy na twój widok?

Dostrzegła coś w jego oczach. Nie potrafiła tego nazwać, ale
gdyby musiała, powiedziałaaby, że była to mieszanina cierpienia i
tęsknoty.

- Nie jestem zainteresowany. Wyszedł.

Willow długo stała bez ruchu. Mogła nie znać się na wielu
sprawach, wielu rzeczy nie wiedzieć, ale jednego była pewna.

Kane skłamał.

W czwartek po południu Willow zatrzymała się przed swoim
domem, radośnie uśmiechnęta. Miała za sobą wspaniałe chwile.
Blisko dwie godziny rozmawiała z Beverly, właścicielką firmy
ogrodniczej, o roślinach, kwiatkach i sposobach ich uprawy. Na koniec
Beverly nie tylko zaproponowała jej pracę, ale jeszcze pensję wyższą
niż początkowo.

- Właśnie kogoś takiego szukałam - powiedziała. - Już
przestałam wierzyć, że uda mi się znaleźć.

Willow chciało się tańczyć ze szczęścia. W podskokach
wysiadła z samochodu i poszła do domu.

Ale dobry humor wyparował jak mgła na słońcu, gdy zobaczyła
przed domem znajomy motocykl i opartego o niego mężczyznę.

Chuck wrócił.

Zabawne. Jeszcze całkiem niedawno te dwa słowa wprawiłyby jej serce w radosny galop i zaczęłaby się zastanawiać, czy tym razem zostanie na dłużej. Ponieważ Chuck stanowił fatalną kombinację mężczyzny, któremu potrzebna była jej pomoc - jak większości mężczyzn w jej życiu - i jej ojca, który nie potrafił zostać w jednym miejscu dłużej niż kilka miesięcy.

- Willow. - Ruszył ku niej. - Tyle czasu. Wspaniale wyglądasz.
-Chuck.

Wyglądał jak zwykle. Trochę zbyt długie, ciemne włosy, zielone oczy i urzekający uśmiech. Ale tym razem coś się jednak zmieniło. Nie czuła nic.

Zatrzymała się na chodniku. Co się dzieje? - pomyślała. Przecież to Chuck. Ten, o którym marzyłam po nocach, z którym chciałam mieć dzieci.

- Zmieniłaś zamki. Nie mogłem wejść do środka.
- Tak. Zmieniłam. - Już pół roku temu.
- Nie zaprosisz mnie do środka?

Nie miała mu wiele do powiedzenia, ale czemu nie?

- Proszę.

Weszli do mieszkania. Rozejrzał się i uśmiechnął.

- Wszystko jest tak, jak zapamiętałem. Uroczo. Uroczo?
- Zawsze mówiłeś, że tu jest jak w babskim katalogu, że aż się niedobrze robi.

- Naprawdę? Wcale tak nie myślałem. Masz wspaniały gust, Willow. - Podszedł i objął ją. - Wyglądasz wspaniale. Seksownie.

Seksownie?

- Od kiedy? - spytała, zdziwiona. - Kiedy zrobiliśmy to ostatni raz, powiedziałeś, że myślałeś o mnie jako o swojej siostrze.

- Nie. To nie byłem ja. Uważam, że jesteś pociągająca. Pociągająca? Ona? Tak długo czekała na te słowa. A gdy je w końcu usłyszała, nie ucieszyła się.

Wyswobodziła się z jego objęć i poszła do kuchni. Napelniła dwie szklanki mrożoną herbatą.

- Zrobiłem to, Willow - powiedział. Oparł się o blat. - Wyczyściłem swoje życie tak, jak mi radziłaś. Pojechałem do Tucson, znalazłem pracę i zaoszczędziłem trochę pieniędzy. Kiedy tylko miałem zrobić coś głupiego, zadawałem sobie pytanie: „Czy Willow by to zrobiła?”. Wygrałem w pokera sporą sumkę i zainwestowałem w jedną firmę. Idzie mi całkiem nieźle. I odkładam pieniądze na dom.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Zbyt wiele informacji jak na jeden raz.

- To bardzo dobrze - powiedziała.

- Rzecz w tym, że nie chcę żyć jak kiedyś. Jesteś mi potrzebna, Willow. Jestem teraz lepszym człowiekiem. Pomyślałem, że mogłabyś wrócić do mnie. Po jakimś czasie może nawet wyszłabyś za mnie.

Chciałaś tego, prawda? Chciałaś ślubu i dzieci? Teraz mogę ci to dać.

Rok wcześniej oszalałaby z radości. A teraz... Nie czuła nic.

Co się ze mną dzieje? - myślała. Przecież to Chuck.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego - powiedziała szczerze. -
Jestem szczęśliwa i dumna z ciebie. Ale nie chcę się przeprowadzać
do Tucson.

Podszedł i ujął w dłoń jej policzek.

- Hej, Willow. To ja. Pocałował ją.

Czekała na znajome uderzenie gorąca. Przecież spała
z Chuckiem. Czowała ciepło jego warg. I nic ponadto. Nie miała
nawet chęci odwzajemnienia pocałunku. Wyprostował się.

- Co się stało? - spytał.

- Nic. Absolutnie nic.

- Powiedziałem, że chcę dzielić z tobą życie. Czekalaś na to.

- Najwyraźniej nie tak bardzo, jak się nam zdawało. -Spróbowała
uśmiechnąć się.

- Ale... - zaczął. Cofnęła się o krok.

- Chuck, uważam, że to wspaniałe, że zdobyłeś wszystko, czego
chciałeś. Cieszę się, że mam w tym mały udział. Ale nie potrzebujesz
mnie, żeby sobie radzić dalej. Znajdź kogoś, kogo pokochasz
naprawdę. Ustatkuj się. Wtedy będziesz szczęśliwy.

- Ale to ciebie pragnę - powtórzył z uporem.

- Nieprawda. Po prostu przyzwyczyłeś się do mnie. Zawsze
przychodziłam ci z pomocą, ale to już niepotrzebne. I bardzo dobrze.
Świetnie sobie radzisz sam.

Wyglądał na bardziej zawstydzonego niż zagniewanego.

- Ale przyjechałem po ciebie.

- To bardzo ładnie z twojej strony.

- Myślałem, że mnie kochasz.

- Już nie. - Może nigdy, pomyślała. Może tylko pomyliłam marzenia z rzeczywistością?

- Powinienem być przyjechać wcześniej.

Ze zgrozą pomyślała, że chyba miał rację. Zadrżała na samą myśl, że mogłaby być żoną Chucka. Spojrzała na zegar na ścianie.

- Muszę iść - powiedziała. Chwycił ją za ramię.

- Jest ktoś inny? Jakiś facet? Gdybyż tak było, pomyślała.

- Nie - powiedziała. - To kot. Opiekuję się nim, chwilowo.

- Jeśli chodzi o pieniądze - zaczął - wyrównam rachunki.

Oswobodziła rękę i delikatnie popchnęła go ku drzwiom. Po drodze wzięła torebkę i klucze.

- Dziękuję, że wpadłeś. Naprawdę się cieszę, że cię zobaczyłam, Chuck. Życzę ci wiele szczęścia.

Wyszli z mieszkania. Zamknęła drzwi na klucz i ruszyła do samochodu.

- Powodzenia - zawołała przez ramię. - Szczerze. Wiem, że gdzieś tam czeka kobieta dla ciebie.

Nie odezwał się. Nie pomachał. Willow ruszyła. Przez kilkanaście minut jeździła po okolicy. Kiedy nabrała przekonania, że Chuck odjechał, wróciła do domu.

Wbiegła do domu, zabrała świece i ciasteczka. Kane mógł mówić, że odpowiadało mu wracanie do pustego, ciemnego domu, ale ona wiedziała, że było inaczej. Poza tym zamierzała też świętować

własne sukcesy. Przede wszystkim dyskrecję. Ani razu nie zajrzała w domu Kane'a tam, gdzie nie powinna zaglądać.

Pojechała do Kane'a. Jaśmina przywitała ją głośnym miauczeniem i mruczeniem. Dwa z kociąt otworzyły już oczy.

- Cześć, maluchy - przywitała je. - Ale już urosłyście.

Tak, tak. Wiecie, kto dzisiaj wraca? Kane. Jesteście podniecone? Bo ja tak.

Nakarmiła koty, posprzątała im i poszła do samochodu wypakować torby, które przywiozła. W pewnym momencie usłyszała dziwny dźwięk.

Na podjazd wjechał na motocyklu Chuck. Zdjął kask i podszedł do niej.

- Jest ktoś inny - powiedział. - Okłamałaś mnie.

- Nie kłamałam. Powiedziałam ci, że opiekuję się kotami.

Chcesz je zobaczyć?

Wyjął jej z ręki jedną z toreb i zajrzał do środka.

- Świece i ciasteczka. Znam cię, Willow, To jest facet.

- A jeśli nawet, to co? Czemu cię to dziwi? Mam swoje życie, Chuck. Zniknąłeś na wiele miesięcy i to nie pierwszy raz. Sądziłeś, że będę czekać w nieskończoność?

Był tak zaskoczony jej słowami, że zrozumiała, że tak właśnie uważał.

- Zawsze czekałaś - powiedział.

- Może kiedyś, ale już więcej nie. Nie jestem już tą, którą pamiętasz. Wiele się zmieniło.

- Kim on jest?

- Jesteśmy przyjaciółmi.

- Zaraz ci uwierzę. - Postawił torbę na ziemi i podszedł bliżej. -

Kim jest ten facet?

Twarz wykrzywiła mu się w gniewie. Nigdy nie widziała Chucka w takim stanie. Podniósł rękę i przez sekundę pomyślała, że ją uderzy.

Kane wolno jechał w panującym na drodze ścisisku. Marzył, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu. Kiedy tylko było to możliwe, mocniej naciskał pedał gazu. Czemu tak się spieszysz? - zapytał sam siebie. Chyba nie liczysz na to, że zastaniesz tam Willow? A może to tęsknota za kotami? Ciekawe, czy bardzo urosły? Czy już otworzyły oczy?

Zjechał z głównej drogi i wcisnął guzik pilota sterowania boczną bramą. Po chwili znalazł się na terenie posiadłości. Zaczekał, żeby sprawdzić, czy brama się zamknęła, i ruszył naprzód.

Gdy wyjechał z za węgła, zobaczył Willow. Stała przed jego domem z jakimś nieznajomym. W mgnieniu oka zdołał odczytać z mowy ciała i uniesionej ręki przybysza jego intencje.

Zatrzymał auto i wysiadł. Poruszał się pomału, lecz był czujny i spięty. Mężczyzna spojrzał na niego.

- To on? - zwrócił się Chuck do Willow. - To przez niego nie chcesz wrócić do mnie?

- Nie chcę wrócić do ciebie, bo nie chcę - powiedziała. - Nie jestem zainteresowana, Chuck. A teraz już odejdz.

Parsknął śmiechem.

- Ani myślę.

Willow posłała Kaneo'wi błagalne spojrzenie.

- Przepraszam cię za to, Kane - powiedziała. - To jest Chuck.

Ktoś, kogo niegdyś znałam.

Chuck zaklął pod nosem. Mimo że opuścił już rękę, wciąż stał bardzo blisko Willow. Zbyt blisko. Ale ona się nie bała. Skrzyżowała ramiona i twardo patrzyła Chuckowi w oczy.

- Willow jest moja - powiedział Chuck stanowczo. - Zabieram ją ze sobą.

Kane poczuł, że wściekłość zaciska mu krtań. Był gotów do ataku, chociaż nie wiedział, czy powinien. Ze względu na Willow.

Podszedł do Chucka.

- Wydaje ci się, że pozwolę ją gdziekolwiek zabrać? Chuck spojrzał mu w oczy. Zamrugał.

- Ja... hm.

- Możesz spróbować - ciągnął Kane. - To może być nawet zabawne. No, dalej. Spróbuj.

Chuck zbladł. Cofnął się o krok.

- Taki byłeś chętny, żeby ją zmusić - ciągnął Kane. - Gdzie zamierzałeś ją uderzyć? Taki z ciebie babski bokser? W moich stronach gardzimy takimi. Takich jak ty używamy do wycierania podłogi. To naprawdę może być zabawne.

Chuck uniósł ręce do góry.

- Nic jej nie zrobiłem. Spytaj ją. Kane nie odrywał od niego oczu.

- Wsiadaj na swój motor i wynoś się. I nigdy więcej nie nachodź Willow. Najlepiej będzie, jeśli w ogóle będziesz unikał Los Angeles. Jasne?

Chuck energicznie pokiwał głową. Wskoczył na motocykl i błyskawicznie odjechał.

Kane odprowadził go wzrokiem. Wciąż kipiał gniewem. Powinien był walnąć gościa. Trochę by mu ulżyło.

Odwrócił się do Willow.

- Przy tobie nigdy nie można się nudzić - powiedział.

Uśmiechnęła się.

- Witaj w domu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Weszli do domu.

- Nie wiem, co się stało - powiedziała Willow. Była zawstydzona zachowaniem Chucka i uradowana pojawieniem się Kane'a. - Nigdy się tak nie zachowywał. Zawsze był raczej zamknięty w sobie, poszukujący pomocy. I właściwie nigdy się mną aż tak bardzo nie interesował. I żeby nie było niedomówień: nie zaprosiłam go tutaj. Czekał przed moim domem. Rozmawialiśmy. Powiedziałam mu, że wszystko skończone, i odjechałam. Musiał mnie śledzić. Wszystko jest takie dziwne.

- To nie jest dziwne - powiedział Kane. - Wcześniej zawsze byłaś do dyspozycji. Tym razem nie. To sprawiło, że zapragnął więcej.

- Strasznie pokręcone - mruknęła. Kane wydał jej się nagle niezwykle przystojny. Gdyby to on poprosił, żeby pojechała do Tucson, nie wahałaby się ani chwili.

- Taka jest ludzka natura. Pragniemy tego, czego nie możemy dostać.

Czyżby dlatego tak pragnęła Kane'a?

Zastanawiała się przez chwilę i pokręciła głową. Nie. Czowała, że gdyby ją błagał, by została, pragnęłaby go jeszcze bardziej.

- Będzie musiał sam dać sobie z tym radę - powiedziała.

- Zamierzam skończyć już z nieudacznikami. Dość pocieszania facetów. Nie potrzebuję udowadniać, ile jestem warta, poświęcając się dla innych.

Uniósł brwi ze zdziwienia.

- Wyczytałaś to w gazecie?

- Bardzo zabawne.

Uśmiechnęła się. Chwyciła go za rękę i pociągnęła do okna.

- Spójrz - powiedziała. - Kwiaty. Piękne.

- Kpisz sobie ze mnie.

- Tylko troszkę. No dobrze, w tych małych doniczkach są zioła.

Bazylia i rozmaryn. Ślicznie pachną. Pamiętaj, żeby rozmaryn zawsze trzymać w osobnych doniczkach. Inaczej rozpleni się po całym świecie. W tamtych dwóch są kwiaty. Miniaturowe róże. Wyjątkowo łatwe w hodowli. Uwielbiam ich kolory.

- Dobrze.

Czekała. Miała nadzieję, że powie coś więcej. Wiedziała, że nie jest zachwycony, ale czy zaakceptuje nowe rośliny?

- Co? - spytał.

- Mógłbyś udąć, że jesteś zainteresowany.

- Uwierzyłabyś?

- Spróbowałabym. Westchnął.

- Są wspaniałe. Dziękuję.

- Nie ma za co. Chodź. - Znów pociągnęła go za rękę.

- Zobacz kocięta. Dwa otworzyły już oczy.

Pozwolił się zaprowadzić w drugi koniec pokoju. Jaśmina miauknęła na powitanie. Przeciągnęła się i wyskoczyła z pudełka. Kane schylił się i ją pogłaskał. Willow popatrzyła z zazdrością. Wolałaby, żeby to ją pogłaskał. Może niekoniecznie pod brodą.

- Jak tam podróż? - spytała.

- W porządku.

- Kawy? Zawahał się.

- Chętnie. Wrócili do kuchni.

- Byłam bardzo grzeczna, kiedy cię nie było - powiedziała z dumą. - Nigdzie nie zaglądałam. Ani do szuflad, ani do szafek. Nigdzie.

- To skąd wiesz, gdzie trzymam kawę? Uśmiechnęła się radośnie.

- Widziałam, gdy byłam tutaj pierwszy raz. Kiedy się zastanowię, dochodzę wniosku, że nie byłam dobra. Byłam doskonała.

- Trudno było? Włączyła ekspres do kawy.

- Bardzo trudno. Ale wykazałam się charakterem i silną wolą.

Poza tym dałam słowo i starałam się go dotrzymać.

Przyglądał jej się w wielkim skupieniu. Czują mrowienie w każdym skrawku ciała.

- Ilu jeszcze było chłopców? - spytał. - Takich jak Chuck?

- Kilku. - Nie podobała jej się ta rozmowa. Nie odrywał od niej oczu.

- Kilku - powtórzyła. - Może więcej niż kilku. -I wszystkim pomagałaś?

- Większości. I czasem nawet mi się udawało. Weźmy Chucka, ma dzisiaj firmę; to naprawdę wspaniałe.

- Zaraz zemdleję z wrażenia - rzucił z przekąsem. -I nadal chcesz także mnie przyjść z pomocą?

- Przecież wiesz, że tak tylko sobie myślałam. Ty, tak naprawdę, nie potrzebujesz pomocy. Twoje życie jest klarowne i proste. Z wyjątkiem samotności. To jest po prostu smutne.

- Może lubię ciszę.

- Nikt nie chce być sam przez cały czas. Przyznaj, że jesteś zadowolony, że mnie tu zastałeś.

- Oczywiście. Przyglądanie się, jak jakiś gość się zbiera, by się na ciebie rzucić z łapami, było całkiem zabawne.

- O, tak. - O tym zapomniała. - Jestem pewna, że wcale nie miał takiego zamiaru.

- Jestem pewien, że miał. - Podszedł bliżej. - Jesteś niebezpieczna dla samej siebie. Wplątujesz się i nie umiesz się wyplątać. Musisz nad tym popracować.

Poczuła ciepło jego ciała. Właściwie powinna się go bać. Ale to był Kane. Silny i niebezpieczny, była jednak pewna, że gdyby tylko powiedziała „stop”, usłuchałby natychmiast.

- Zamierzasz mnie naprawić? - spytała, patrząc mu głęboko w oczy.

- Ciebie nie da się naprawić.

- Możesz spróbować.

- Co innego mi w głowie. Tak!

Odwróciła się i wyłączyła ekspres.

- Zamierzasz znowu zrobić mi wykład? O tym, że nigdy nie dzwonisz, że to tylko na jedną noc i że bym się nie spodziewała niczego, bo i tak złamiesz mi serce?

Milczał długo. Aż zaczęła żałować tego, co powiedziała.

Wiedziała, że igra z nim niebezpiecznie. W końcu jednak się odezwał.

- Nie - powiedział.

Serce jej podskoczyło. Krew uderzyła do głowy. Zapragnęła natychmiast zerwać z siebie ubranie.

- Naprawdę? - spytała cicho.

- Naprawdę.

Pochylił się, żeby ją pocałować. Ale położyła mu palce na ustach.

- Zbiłbyś Chucka?

- Gdyby tylko cię dotknął.

- Gdyby mnie zranił?

- Nie. Gdyby cię dotknął. Pocałował ją.

Miał gorące wargi. Objął ją i przytulił, a ona przywarła do niego całym ciałem, żeby poczuć go jeszcze wyraźniej.

Wziął jej twarz w dłonie i całował zachłannie. Wysunął język, aż poczuła dreszcz podniecenia.

- Co z tobą jest? - spytał głucho. - Dlaczego nie mogę przestać o tobie myśleć?

- Po prostu nie można mi się oprzeć - powiedziała z szerokim uśmiechem.

Uniósł głowę. Spojrzał jej prosto w twarz.

- Tak, to prawda.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

- Powiedz mi, że naprawdę tego chcesz - poprosił. Czy musiał pytać? Urocze.

- Pragnę cię, Kane.

Zadrżał i sięgnął po nią. Padła mu w ramiona i gdy przywarli do siebie, poczuła, że znalazła drogę do domu.

Dotykał jej. Wszędzie. Czowała jego palce na plecach, biodrach, na ramionach. Pragnęła go, pragnęła jego dotknięć. Chciała poczuć jego dłonie na piersiach, między udami, wszędzie... Płonęła pożądaniem.

Ściągnął jej sweter, schylił się i zaczął całować jej ramiona. Sunął wargami, muskał czubkiem języka, ssał, aż pokryła się gęsią skórka. Całował jej kark, brodę, ucho.

Objęła go z całych sił. Nogi jej drżały, uda płonęły. Gorączkowo mocowała się z węzłem jego krawata. Szarpała guziki jego koszuli.

Ale kiedy położył dłonie na jej piersiach, zapomniała o wszystkim. Zaczął zataczać kciukami kręgi wokół przeżących się sutków. Zacisnęła powieki i zachłysnęła się rozkoszą. Oddychała z coraz większym trudem. Podniecenie rosło w niej jak fala przyływu.

Wtedy ją pocałował. Zsunął rękę w dół i rozpiął guzik jej spodni. A gdy poczuła jego palce, przestała myśleć.

Kane dotykał jej, całował ją. Po chwili drugą ręką sięgnął za jej plecy i rozpiął staniczek. Jedną ręką. Fachowiec.

Opuściła ramiona i skrawek koronki opadł na podłogę. Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy pochylił głowę i wpił się ustami w jej pierś.

Każde muśnięcie jego delikatnych warg budziło w niej kolejną falę podniecenia. Pragnęła go, gwałtownie i gorączkowo.

- Kane - wyszeptała. - Już nie wytrzymam. Chyba nie powinna była tego mówić, bo Kane się zatrzymał. Ale już po chwili zdarł z niej resztę ubrania. Chwilę później z siebie. Porwał w locie prezerwatywę i popchnął Willow na łóżko.

Klęknął między jej udami i pocałował ją.

Pamiętała, jak wspaniale potrafi to robić. Jak wielkich doznawała wtedy rozkoszy. Czekwała. Wbiła pięty w materac i gwałtownie natarła nań biodrami. Wiła się, wznosiła i opadała. Każde muśnięcie języka Kane'a wznosiło ją na kolejne szczyty. Fale gorąca przetaczały się przez jej rozdygotane ciało. Z trudem łapała oddech.

- Już - szepnęła chrapliwie. Kane przyspieszył. - Już.

I stało się. Eksplodowała z głośnym jękiem. Raz po raz jej ciałem wstrząsały rozkoszne drgania.

Po chwili otworzyła oczy i napotkała jego spojrzenie.

- Jesteś naprawdę dobry - powiedziała słabo.

- Dałaś mi natchnienie.

Przyciągnęła go i poprowadziła do celu. Cóż za cudowne zakończenie dnia.

Oplotła go nogami i ścisnęła. Uniosła biodra. Wychodziła naprzeciw każdemu jego ruchowi. Szybciej i szybciej.

Przez cały czas patrzyła mu w oczy. Dostrzegła znajomy płomień pożądania. A na dnie... Coś ciemnego wołało do niej z oddali. Jego serce? Dusza?

Jej serce zabiło mocniej na samą myśl, że ten samotnik tak bardzo się przed nią otworzył. Czy zrobił to przed kimkolwiek innym?

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Po chwili i ono odpłynęło w niebyt. Porwały ją kolejne fale rozkoszy.

Zacisnęła powieki. Kane opadł na nią. Zastygli bez ruchu.

Kane siedział w salonie ze szklaneczką w dłoni. Było już dobrze po północy i cały dom trwał w ciszy. Nawet ten cholerny kot też już spał.

Mała lampka w kącie dawała więcej cienia niż światła. Odpowiadało to jego nastrojowi.

Złamał swoje zasady. Zasady, które ustanowił, kiedy ktoś... kobieta, którą kochał, omal nie sprowadziła na niego śmierci. Strzelić komuś w brzuch i zostawić bez pomocy to chyba wystarczająco jasna wiadomość, prawda? Od tamtej pory każda bliższa znajomość, każdy związek czyniły go słabszym. A on musiał być silny. By przeżyć.

Logiczne, pomyślał. Lecz nie wtedy, gdy szło o Willow.

Nie potrafił powiedzieć, dlaczego właśnie ona. Co sprawiło, że nie umiał wytrwać w postanowieniu?

Miał wrażenie, jakby wpadł w potrzask. Nie wiedział, jak się wyswobodzić. Nawet będąc tysiące kilometrów od domu, nie mógł przestać o niej myśleć.

Popatrzył na wielką paczkę stojącą na stoliku do kawy. Kiedy skończył załatwiać sprawy w Nowym Jorku i zostało mu trochę czasu do odlotu, zrobił coś, czego nie robił nigdy w życiu... Poszedł na zakupy.

Nie zrobił tego świadomie. Po spotkaniu postanowił trochę się przejść. Ale nie poszedł do hotelu, tylko w stronę centrum handlowego. Zglądał na wystawy luksusowych butików, patrzył na stroje, biżuterię... Szukał czegoś... W końcu znalazł.

Wielka torba zdobiona wzorami roślinnymi. Była jasna, wesoła i idiotycznie droga. Ale kiedy tylko ją zobaczył, natychmiast pomyślał, że powinna być jej. Kupił ją, przywiózł do domu, a teraz nie miał pojęcia, co z tym zrobić.

Właściwie powinien ją odesłać do sklepu. Udawać, że Willow w ogóle nie było. Ale nie potrafił się okłamywać.

Co robić? Dać jej? Wiedział, co sobie pomyśli. Ile to będzie dla niej znaczyło. A przecież nie mógł pozwolić, by uwierzyła, że coś dla niego znaczy. Nie mógł jej narażać na takie niebezpieczeństwo. I siebie także. Już raz omal nie zginął przez kobietę i nie zamierzał ryzykować ponownie.

Willow siekała jarzyny na sałatkę. Marina po raz setny otworzyła piecyk i przyglądała się chlebowi.

- Brązowieje? - spytała. - Chyba nie.

Julie popatrzyła na Willow i przewróciła oczami.

- To ty jesteś naukowcem w tej rodzinie - powiedziała do Mariny. - I to ty powinnaś wiedzieć, że ilekroć otwierasz piecyk, schładzasz go. W ten sposób to biedactwo nigdy nie zbrązowieje. Zamknij drzwiczki i odsuń się od kuchenki.

- Wiem. - Marina zrobiła, co kazała siostra. - Ale jeszcze nigdy nie piekłam chleba. Chciałabym, żeby mi się udało.

Willow zajrzała do zlewu pełnego naczyń i misek.

- Po co to wszystko? - spytała.

- Mamy dzisiaj ważnych gości. Pomyślałam, że domowy chleb będzie doskonałym urozmaiceniem.

Jak w każdą sobotę siostry zebrały się w domu mamy. Naomi pojechała z doktorem Greenbergiem do jednej z przychodni w ubogiej dzielnicy. Jak zazwyczaj, przyjmowali tam tych, których nie stać było na wizytę u lekarza. A jej córki postanowiły się zająć przygotowaniem obiadu.

Willow dołożyła nóż i wytarła ręce.

- Muszę wam coś powiedzieć - zwróciła się do sióstr. Popatrzyły na nią z zaciekawieniem.

- Zerwali ze mną kontrakt na komiksy.

- Och! Nie! - zawołała Marina. Porzuciła swój posterunek przy piecyku i rzuciła się ku Willow. - To okropne! Jak mogli to zrobić? Kiedy to się stało? Dobrze się czujesz?

Julie objęła ją mocno.

- To nie wygląda dobrze - powiedziała. - Chcesz, żebym pozwała ich do sądu?

Przez chwilę Willow rozkoszowała się taką perspektywą. Ale po chwili pokręciła głową.

- Wszystko w porządku - uspokoiła siostry. - Początkowo byłam załamana. Prawdziwy szok. Ale teraz już wszystko dobrze.

Uświadomiłam sobie, że trafiła mi się sposobność, żebym gruntownie przemyślała, czego naprawdę chcę w życiu.

- I co? - spytała Marina ostrożnie. Jakby nie była pewna, czy chciała się dowiedzieć.

- Na początek chcę pracować w szkółce ogrodniczej, a potem otworzę własną firmę. Zaczynam od poniedziałku. To jest wspaniałe miejsce. Wielka firma. Zaopatrują większość projektantów zieleni w okolicy. Ale mają też rośliny egzotyczne. Beverly chce, żebym pomogła jej przy nowych krzyżówkach. To może być niezwykle fascynujące. A od stycznia zaczynam zajęcia na uniwersytecie. Będę studiować ekonomię i zarządzanie. Przyda mi się, kiedy otworzę własną firmę ogrodniczą.

Marina i Julie gapiły się na nią bez słowa.

- Wygląda na to, że wszystko dokładnie przemyślałaś - odezwała się w końcu Marina. - Jestem pod wrażeniem.

- Ja też - dodała Julie. - To wielkie plany.

- Tak myślę. Po raz pierwszy w życiu mam wrażenie, że wiem, dokąd zmierzam. I że chcę tego.

- Bardzo się cieszę - powiedziała Julie. - Co sprawiło, że dokonałaś tak wielkich zmian?

- Zaczęło się od utraty kontraktu - przyznała Willow. - Musiałam się dokładnie zastanowić, czego naprawdę chcę.

Właściwie to Kane popchnął ją we właściwą stronę. Ale o nim nie chciała mówić. Może dlatego, że wciąż nie do końca go rozumiała. Może dlatego, że nadal nie była pewna, czym była ich znajomość.

- Jest jeszcze coś - powiedziała i poklepała Marinę po ramieniu.

- Wiedziałam - powiedziała siostra z uśmiechem.

- Tak... Właśnie... Będę potrzebowała, żebyś wyszła za Todda.

Milion dolarów bardzo mi się przyda przy zakładaniu firmy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Z kieszeni koszuli Kane wyjął pendrive i położył na biurku przed Toddem.

- Mamy problem.

- Nie spodoba mi się to, prawda? - spytał Todd.

- Chyba nie. Nasz system ma za mało zabezpieczeń A jeśli stracimy zapisane tam dane, to możemy zamknąć firmę. Wystarczy, żeby ktoś z kilkoma takimi drobiazgami w kieszeni - wskazał leżący na biurku przedmiot - wykradł oprogramowanie i to może być koniec firmy.

- Możesz coś z tym zrobić? - spytał Todd.

- Oczywiście. Ale to nie będzie tanie. Trzeba będzie włożyć mnóstwo pracy w całą operację.

- Właśnie dlatego dostajesz tyle pieniędzy.

- Tak jest. - Kane się uśmiechnął. - Ale to jest wyzwanie A ja lubię wyzwania.

Todd pchnął w jego stronę pendrive.

- Jesteś szczęśliwy, pracując dla mnie i Ryana? - spytał. Kane popatrzył na szefa ze zdumieniem. O co chodzi

- pomyślał. Todd nigdy nie był taki wylewny i uczucie wy.

- Dlaczego pytasz?

- Jesteś dobry. Nie chcielibyśmy cię stracić. Wiem, że wciąż masz propozycje wyjazdów na misje, czy jak to tam nazywacie.

Tajne operacje. Sekretne zadania w mrocznych zakątkach świata. Chronienie idiotów, którzy w ogóle nie powinni się znaleźć w tamtych stronach.

- Nie jestem zainteresowany - powiedział Kane.

- Za mało płacą?

- Płacą nieźle. Ale tutaj mam robotę na miejscu. I też nieźle pieniądze.

- Nie chcę być wścibski, ale ty masz już chyba dosyć pieniędzy, żeby przejść w stan spoczynku, prawda? - spytał Todd. - Nie musisz wciąż tego robić.

Osiem milionów, pomyślał Kane. Ale chciał je jeszcze przynajmniej podwoić, zanim się przeniesie do swojej rajskiej pustelni.

- Lubię to, co robię. Poza tym mieszkam w kosztownych zachciankach. Zostanę jeszcze jakiś czas.

- To chciałem usłyszeć. Ale naprawdę nie ciągnie cię do akcji?

- To jest gra z zerową sumą wygranych - powiedział Kane. -

Wcześniej czy później zawsze ktoś ginie. Mam już dość zastanawiania się, czy tym razem to będę ja.

- Nie czujesz podniecenia polowaniem, pogonią?

- Ani trochę.

- To dobrze. - Todd przyglądał mu się w milczeniu. - Jak się ma Willow?

- Dlaczego pytasz?

- Tak się zastanawiam. Widziałem tu jej auto kilka nocy temu.

Czy wy...

- Nie - rzucił prędko Kane. - Nic nas nie łączy.

Czyżby? Przecież po raz drugi poszedł z nią do łóżka. Chciał, żeby została na noc. Wybiegał myślami do kolejnego z nią spotkania.

- Interesujące - powiedział Todd. - Mężczyźni. Kobiety. Taki Ryan. Kilka miesięcy temu gotów byłem się założyć o wszystko, że tam, gdzie chodzi o sprawy sercowe, jest takim samym cynicznym draniem jak ja. Ale teraz już nie. Zwariował na punkcie Julie. Nigdy nie widziałem go tak szczęśliwego.

- Zazdrosny?

- Nie. Sparzyłem się już zbyt wiele razy. Nie mam zamiaru się żenić. Kiedy będę stary, będę miał stado psów albo rybki czy coś takiego i im zostawię wszystkie moje pieniądze...

- Nikt w to nie uwierzy.

- Wiem, ale kiedy tak mówię, moi krewni cierpią prawdziwe katusze. Zwłaszcza ciocia Ruth. W moim wieku nie powinno mnie to już bawić, ale... Tak czy siak, ona koniecznie chce mnie ożenić.

Prócz irytacji w głosie Todda słychać było także ciepłe uczucie. Kane wiedział, że i on, i Ryan byli bardzo zżyci z ciotką.

- Julie nie jest już niebezpieczna - powiedział Kane. Pamiętał o milionie dolarów dla tej z sióstr Nelson, która poślubi Todda.

- Zastanawiam się, czy Willow jest?

- Ale nadal musisz uważać na Marinę - ciągnął Kane, ignorując wzmiankę o Willow.

- Nic o niej nie wiem, prócz tego, że mam zamiar trzymać się od niej jak najdalej.

- Jest bardzo podobna do sióstr.

- Spotkałeś ją?

- Raz.

- Atrakcyjna?

Nie tak piękna jak Willow, ale... -No...

- Mniejsza z tym - burknął Todd. - Co ta Ruth sobie myśli? Żeby proponować pieniądze za ślub ze mną! Gdybym chciał się ożenić, zrobiłbym to.

- Może się stara trochę przyspieszyć sprawy.

- Trochę! Ja jestem młodszy, silniejszy i bardziej zdecydowany. Ale gdybyś zauważył, że Marina kręci się w pobliżu, dasz mi znać?

- Oczywiście.

Kane wyszedł. W holu czekała na niego elegancka starsza pani.

- Ty musisz być Kane - powiedziała.

- Owszem, proszę pani.

- Proszę, tylko nie pani. Jestem Ruth Jamison, babcia Willow.

Mało mi było kotów, pomyślał. Uścisnął podaną dłoń i wskazał skórzaną kanapę stojącą w kącie.

- W czym mogę pomóc? - spytał.

- Wyglądasz na miłego, szczerego, bezpośredniego młodzieńca, więc i ja nie będę owijać w bawełnę. Jak rozumiem, spotykasz się z moją wnuczką, Willow.

Kane otworzył usta, po czym powoli je zamknął.

- Znam ją - odparł ostrożnie.

- Tak. Bardzo blisko, jak słyszałam. - Powstrzymała go uniesieniem ręki. - Jadłam niedawno lunch z Julie i coś o tym wspomniała. Nie wtrącam się. Dostałam już dosyć za wtrącanie się w życie moich wnuczek. Znalazłam się na uboczu. To moja wina, że prawie się nie znamy. Muszę więc być cierpliwa. Ale bardzo byłam ciekawa ciebie.

Kane nie wiedział, co powiedzieć. Na szczęście Ruth nie czekała.

- Coraz bardziej dochodzę do wniosku, że żadna z moich wnuczek nie zechce wyjść za Todda. Chociaż bardzo się cieszę ze związku Julie i Ryana. Ale ciebie nie znam. Nie wiem, czy będziesz dobry dla Willow, czy nie. A może masz zamiar wkrótce z nią zerwać?

- My nie... Ja nie... - Zaklął pod nosem. - Nie wiem.

- Szkoda. Ale jeśli jesteś dobrym człowiekiem, to się może udać. Wtedy co prawda już tylko Marina zostanie dla Todda, a ja zupełnie nie wiem, jak ich połączyć. Teraz, kiedy zna moje zamiary, będzie się miał na baczności.

- Wydawało mi się, że nie zamierzała się pani wtrącać.

- Nie zamierzam. Trochę tylko pomagam losowi. Młodzi ludzie potrzebują takiego wsparcia. Jeśli zostawię wszystko w ich rękach, na pewno nie dożyję widoku prawnucząt. A tego nikt nie chce.

Wstała.

- Miło było cię poznać, Kane. Dbaj o Willow. To jest wyjątkowa młoda kobieta.

Już w drzwiach odwróciła się.

- Jak słyszałam, masz kocięta.

- A, tak. Trzy.

- Dobrze. Kiedy będą wystarczająco duże, wezmę jedno. Zawsze chciałam mieć kota, ale Fraser nie lubił zwierząt w domu. Teraz mogę to zrobić. - Westchnęła. – Jedna z małych korzyści bycia samą. Gdybym mogła znów być z nim... - Wzruszyła ramionami. - Do widzenia, Kane.

- Do widzenia, pani Jamison.

Willow wniosła do domu Kane'a torby z zakupami.

- Kupiłam coś do jedzenia - powiedziała.

- Widzę.

Poszła prosto do kuchni i zaczęła się krzątać. Pochowała mrożonki do zamrażarki, ułożyła chleb i wino na blacie i odwróciła się do wyraźnie niechętnego gospodarza.

- Zadzwoiłam i uprzedziłam, że przyjadę z kolacją - powiedziała. Jego niechętna postawa wprawiła ją w zdenerwowanie.

- Odsłuchałem wiadomość.

No tak. Kiedy się połączyła z pocztą głosową, postanowiła zaryzykować.

- To będzie specjalne przyjęcie.

- Mówiłaś o tym w swojej wiadomości.

Nie wyglądał na szczęśliwego. Ale nie wyglądał też na nieszczęśliwego. A to już dobrze.

- Chciałam ci podziękować - powiedziała cicho. - Za to, że mi pomogłeś w trudnych chwilach, kiedy straciłam kontrakt w wydawnictwie. I za to, że popchnąłeś mnie do działania. -

Uśmiechnęła się. - Minał właśnie pierwszy tydzień mojej pracy u Beverly. Jestem zachwycona.

Podniosła rękę.

- Dziesięć palców - powiedział.

- Nie, głuptasie. Chodzi o moje paznokcie. Spójrz. Obcięte na krótko. I mam odciski. Cały dzień grabiłam. Jestem taka szczęśliwa! A wszystko dzięki tobie.

- Sama byś do tego doszła - powiedział niezgrabnie.

- Może. Ale mogłoby to trwać wieczność. Już dawno powinnam była się tym zająć. Dzisiaj to wiem. Dzięki tobie. Otóż i uroczystość.

- Otóż i?

- Taki zwrot.

- W tym stuleciu dość rzadki.

- Jestem staroświecka.

- Tak to się nazywa?

Droczył się z nią. Czyli się nie gniewał. Gdyby chciał ją wyrzucić, nie zawahałby się. Poczwała dreszczyk emocji.

- W zeszłym tygodniu byłem w Nowym Jorku.

- Wiem.

- Właśnie. Opiekowałaś się kotami.

Przyjrzała mu się uważnie. Coś było nie w porządku. Kane wyglądał... na zakłopotanego. Czy to możliwe?

- Bardzo jestem ci wdzięczny, że tak ich doglądałaś. No i... hm... coś ci przywiozłem.

Jej serce zabiło radośnie.

- Kupiłeś mi coś? Prezent?

- Podarek na podziękowanie.

Poczuła się nagle jak pięcioletnia dziewczynka przy choince.

- Co to jest? Czy to jest duże? Coś nowojorskiego? Kane wyszedł, a ona aż dygotała z niecierpliwości. Z największym trudem powstrzymała się przed pobiegnięciem za nim. W końcu była dorosła, prawda?

Wrócił z wielką papierową torbą w dłoni. Zajrzała. I znalazła śliczną, skórzaną torbę na ramię zdobioną kolorowymi motywami roślinnymi.

- Jaka cudowna! - zawołała. Nie mogła uwierzyć, że to dla niej. Musiała kosztować fortunę. Aż zagryzła wargi, kiedy zobaczyła nazwisko projektanta.

- Pomyślałem, że ci się spodobają te kwiaty i rośliny Zajrzała do środka. Z zachwytem oglądała przegródki na pióra i telefon komórkowy czy okulary przeciwsłoneczne. Podszywka była delikatna jak jedwab. Skóra miękka i gładka.

- Jest fantastyczna - westchnęła. - Ale to za dużo. Ja tylko opiekowałam się kotami.

- Jeśli ci się podoba, zatrzymaj ją.

- Podoba? Każę się z nią kiedyś pochować.

- Dobrze. - Uśmiechnął się. - Zobaczyłem torbę i pomyślałem o tobie. Dlatego ją kupiłem.

Pomyślał o niej? Pamiętał o niej podczas podróży? Bardzo ważna informacja.

- Dziękuję - powiedziała. - Naprawdę jest piękna. Uwielbiam ją.

- To dobrze. Co to za wino?

Niezbyt elegancko zmienił temat. Taki już był. Ale też nigdy wcześniej nie kupił prezentu żadnej kobiecie. Czyżby zaczynała coś dla niego znaczyć? Nie wiedziała, co myśleć, rozrywana między nadzieją a potrzebą chronienia swego serca.

Podawała mu butelkę.

- Wspaniały merlot - powiedziała. Napełnił kieliszki.

- A co z tymi stekami, które włożyłaś do zamrażarki? - Podał jej kieliszek.

- Widziałam na tarasie grill. Wiem, co o mnie teraz myślisz, ale przecież mięso pieczone na grillu się nie liczy.

- Oczywiście, że nie - mruknął. - Wszyscy o tym wiedzą.

Uśmiechnęła się i dotknęła kieliszkiem o jego kieliszek.

- Za nasze marzenia - powiedziała. - Niech się spełnią.

Później, kiedy wszystko było już zjedzone, siedzieli w salonie przed kominkiem. Willow zwinęła się w fotelu i starała się nie przykładać do wydarzeń tego wieczora zbyt wielkiej wagi. Kane kupił jej prezent. Wypili wino. Zjedli obfity posiłek i długo rozmawiali. Byli też kochankami, i to więcej niż jeden raz. Niektórzy traktowaliby

to już jak bycie ze sobą. Ona nie miałaby nic przeciwko temu, ale Kane raczej tak.

Prawdziwym problemem było to, że go polubiła. I to bardzo.

- Jesteś wegetarianką, ale lubisz dobre steki - powiedział.

- Wiem, że to moja wada. Mogę wytrzymać miesiącami, aż nagle nachodzi mnie niepoohamowana ochota.

- Wydawało mi się, że prędzej skusiłabyś się na rybę albo kurczaka.

- Może powinnam - przyznała. - Ale nic na to nie poradzę.

Uwielbiam steki.

Uśmiechnęła się. Nie odwzajemnił uśmiechu, ale dostrzegła w jego oczach coś, co sprawiło jej przyjemność. Żar. Wyobraźnia natychmiast podsunęła jej obrazy namiętych scen na dywanie przed kominkiem.

Oczywiście byłoby to raczej trudne do wykonania. Po pokoju kręciły się koty.

- Znowu mnie pragniesz - powiedziała. - To jedna z twoich największych zalet.

- To tylko przypuszczenia.

- Niecałkiem. Widzę to w twoich oczach. Są jasne i pełne ognia. To jest fantastyczne i podniecające. Wewnątrz cała drzę i zaczynani myśleć o zerwaniu z siebie ubrania.

- Za dużo wypiałś. - Popatrzył na nią poważnie. Spojrzała na trzymany w dłoni kieliszek. Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, ile wypiała.

- Może odrobinę. - Zachichotała. - Jak sądzisz?

- Myślę, że gdybyś była trzeźwa, nie mówiłabyś o ogniu w moich oczach. Albo o rozbieraniu się.

- O! No, proszę. Jesteś taki logiczny i prostoliniowy. Podoba mi się to. Jest takie męskie. Podejrzewam, że mój mózg po przekrojeniu przypominałby kalejdoskop. Bardzo piękny i intrygujący. Ale kompletnie nieuporządkowany.

- Nikt nie chce, żebyś się zmieniała.

- Ty też.

- Tak.

To zabrzmiało obiecująco.

- Zatrzymałeś koty - zauważyła. - Bardzo się cieszę.

Potrzebujesz trochę życia w swoim życiu. - Zachichotała. - Chodzi mi o jakąś żywą istotę w twoim życiu.

- Często ci się to zdarza? - Wskazał kieliszek.

- Prawie nigdy. Nie lubię tracić kontroli nad sobą. To jest zbyt przerażające. Ale tutaj, przy tobie, jestem całkowicie bezpieczna. Dziwne. Jesteś jedynym człowiekiem, przy którym się czuję wyjątkowa i bezpieczna.

- Nie ufaj mi, Willow. Nie jestem jednym z tych dobrych chłopców.

- Oczywiście, że jesteś. Nigdy mnie nie zranisz. Fizycznie na pewno. A czy emocjonalnie to nie jestem pewna. Być może będę tego żałować, ale warto.

Miała wrażenie, że mówiła za dużo, ale nie mogła przestać. Poza tym jeśli nie był dobrym chłopcem, to dlaczego starał się ją ostrzec?

Wstał i podszedł do jej fotela. Wziął ją za rękę i pociągnął, aż wstała. Wyjął kieliszek jej z dłoni, odstawił na stolik i zajrzał jej w oczy.

- Nie jesteśmy na randce - powiedział.

- Oczywiście.

- To prowadzi donikąd.

- Czy mogę coś zanucić? Bo kiedy tak mówisz, brakuje jakiegoś podkładu.

Westchnął ciężko.

- Czy jesteś na tyle trzeźwa, żeby podjąć racjonalną decyzję o zostaniu tutaj na noc?

No! Nareszcie sprawy ruszyły we właściwą stronę.

- Nie. Ale jestem wystarczająco trzeźwa, żeby powiedzieć: weź mnie mocno, kowboju.

Zamknął ją w uścisku.

- To mi odpowiada.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

To był wspaniały dzień, pomyślała Willow, wychodząc z łazienki i idąc do kuchni. Gdyby to był jej komiks, małe leśne zwierzątka krzątałyby się dookoła, zbierając jej ubranie i wijąc dla niej wianek.

- Ranny z ciebie ptaszek - powiedział Kane. Stał przy blacie i robił kawę. Miał na sobie koszulkę i dzinsy. Przypadkiem wiedziała, że nie ma nic pod nimi.

Ona sama też była ubrana raczej skąpo. Kane nie miał żadnego szlafroka, zaoferował jej więc swoją koszulkę. Była olbrzymia, ale czuła się w niej wspaniale. Dawała jej miłe poczucie intymności.

- Czasem lubię wstać wcześniej - powiedziała. Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy. Wyglądał jeszcze lepiej, niż kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Nie była pewna, czy to dlatego, że był zrelaksowany, czy może dlatego, że znała go bliżej.

- Jesteś zmęczona?

- Oj, tak. A ty?

- Zdrzemnę się później.

Willow się roześmiała. A Kane włączył ekspres do kawy, podszedł do niej i pocałował ją. Zarzuciła mu ręce na szyję i odpowiedziała pocałunkiem. Kane wsunął ręce pod koszulkę i położył dłonie na jej nagich pośladkach.

- Znowu? - spytała. A krew w jej żyłach popłynęła szybciej.

- Nie wytrzymasz.

- Jestem już dużą dziewczynką. Dam sobie radę. Pocałował ją jeszcze raz. Cofnął się o krok.

- Może po śniadaniu - powiedział.

Była pewna, że miał na myśli kawę. Kane nie trzymał w domu zbyt dużo jedzenia.

- Uśmiechasz się - powiedział.

- Myślałam o minionej nocy.

- To dobrze. Roześmiała się.

- Wyglądasz teraz jak lew, który zabił ofiarę. Bardzo z siebie zadowolony.

- Nie zabiłem cię.

- Tego nie jestem pewna. Doskonale pamiętam, że umierałam kilka razy... z rozkoszy.

Ogniki w jego oczach wystarczyły jej za odpowiedź. Ale ważniejsze było, że się uśmiechnął.

- No, to rzeczywiście musisz być głodna - powiedział. - Na śniadanie.

Skierował się do lodówki.

- Och, proszę - zawołała. - Wiem, co tam jest. Trochę przypraw i kilka puszek wody mineralnej.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wydaje ci się, że wiesz wszystko - powiedział.

- Wiem. Dlatego w kryzysowych sytuacjach nasz rząd zawsze dzwoni do mnie. - Podeszła do lodówki i otworzyła ją. Wewnątrz było... pełno jedzenia. Wpatrywała się w nie w milczeniu.

- Pojechałeś do sklepu - powiedziała po chwili. Wzruszył ramionami.

- Kiedy spałaś.

- Masz tu teraz pełno jedzenia. A przecież nie cierpisz tego.

- Lubię jedzenie. Wiem też, jak ty lubisz jeść. Miałem przeczucie, że przyjedziesz, więc kupiłem kilka rzeczy.

Czegóż tam nie było! Pełno smakołyków. Znacznie więcej, niż potrzeba na jedno śniadanie, pomyślała. Zamknęła lodówkę i popatrzyła na Kane'a.

- Spodziewałeś się, że wrócę?

- Jesteś uparta.

Stała tuż przed nim. Położyła mu rękę na piersi.

- Jesteś dużym, okropnym chłopcem. Potrafiłbyś trzymać mnie z daleka, gdybyś tylko chciał.

Westchnął.

- Willow, nie traktuj tego zbyt poważnie.

- Przestań tak do mnie mówić. Zapraszasz mnie i odpychasz równocześnie. O co chodzi? - Nabrała głęboko powietrza. - Spotykamy się. Możesz mówić, co chcesz, ale tak jest. Jesteśmy razem. Jesteśmy parą. Wszystko jedno. Ty chcesz się widywać ze mną. Ja chcę się widywać z tobą. To się nazywa chodzić ze sobą. Taka jest rzeczywistość.

Źrenice mu się zwały. Wzrok zapłonął. Ale nie cofnął się. To już coś. Ale po chwili wziął ją za rękę i odsunął je na bok.

- Dlatego właśnie nie robię tego - powiedział.

- Czego?

- Nie umawiam się na randki.

- Dobrze. Wał śmiało. - Uśmiechnęła się. - To takie żargonowe wyrażenie, które oznacza: powiedz mi, o co ci chodzi.

- Znam takie wyrażenia - powiedział ponuro.

- Nie byłam pewna. Wy, którzy nie umawiacie się na randki, bywacie bardzo skomplikowani.

- Związaną się z kimś wymaga zaufania - powiedział. - A ja nie ufam nikomu. Wymaga też zmian, a ja nie chcę zmian.

Mylisz się, pomyślała. Zmartwiło ją, że nie potrafił dostrzec prawdy. Bo przecież już jej zaufała. Inaczej nigdy nie zostawiłby jej klucza do domu.

Zmiany także już nastąpiły. Przecież przywiózł jej prezent z Nowego Jorku. I ta lodówka pełna jedzenia...

Ale nic na ten temat nie powiedziała.

- Nie martw się - szepnęła. - Randki ze mną są bardzo łatwe. Jest tylko kilka prostych zasad, a ty jesteś bystry. Na pewno sobie poradzisz.

Wstrzymała oddech. Kane mógł teraz po prostu odejść. Albo zaakceptować, co powiedziała. Patrzył jej prosto w oczy.

- Co to za zasady? - spytał. Ulga.

- Zaczniemy od tego, że jestem fantastyczną przyjaciółką. Rozpieszczę cię dla innej.

- Jakoś to zniosę.

- Dobrze. Dalej... Chcę, żebyś dzwonił, kiedy obiecasz. Nie spóźniał się. Nie spotykał się z inną.

Wciąż trzymał ją za ręce. Teraz ją przytulił.

- Nie interesują mnie inne. To właśnie chciała usłyszeć.

- Świetnie - powiedziała. - Co dalej? A! Komplementy.

Komplementy są zawsze mile widziane.

- A prezenty?

- Niekoniecznie. Ale nie odmówię. - Uśmiechnęła się. - Ale kiedy chodzi o ciebie, rzadko mówię nie.

Nieodgadnione emocje zamglily mu spojrzenie.

- Nie jestem w tym zbyt dobry, Willow. Wymagasz zbyt wiele.

- Bardzo w ciebie wierzę.

- Co będzie, gdy coś się nie uda?

- Po co się martwić na zapas? Myślmy, co będzie, gdy wszystko pójdzie dobrze.

Pogłaskał ją po policzku.

- Optymistka.

- Taka już jestem. Na tym polega mój urok.

- Tak, to prawda. - Pocałował ją. - Zaczekaj tu. Wyszedł z kuchni. Odprowadziła go wzrokiem. Potem napełniła kawą dwie filiżanki i czekała. Kiedy wrócił, trzymał w dłoni wizytówkę.

- Mój numer do biura. Na odwrocie napisałem numer mojego telefonu komórkowego.

Drżącą rękę wzięła mały kartonik. Wiedziała, że oto ofiarował jej dostęp do swojego świata. Do siebie samego. Był to z jego strony naprawdę wielki krok.

W zamian ona ofiarowała mu serce. Ale nie była pewna, czy to dobry interes.

Był późny niedzielny poranek. Willow stała przed największym domem, jaki kiedykolwiek widziała, i wpatrywała się weń z zachwytem. Samym ogrodem musiało się chyba opiekować aż trzech ogrodników.

Marina wzięła ją pod ramię.

- I co ty na to? - spytała.

- Zdumiewające. Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy spokrewnione z kimś, kto mieszka w czymś takim. Dom Todda jest wielki, ale jego prawie nie znamy. To się nie liczy. Myślisz, że ona mieszka tu razem ze służbą?

- Jestem pewna.

- Nie wiem, czy by mi się to podobało. Nie chciałabym, żeby ktoś bez przerwy mnie obserwował. A gdybym chciała chodzić po domu nago? Dla personelu mogłoby to być krępujące.

Marina się roześmiała.

- Często chodzisz po domu nago?

- Raczej nie. Ale nie chcę się pozbawiać tej możliwości.

- Przepraszam za spóźnienie. - Julie podbiegła do siostr. -

Byłam... hm... zajęta i nie zauważyłam, że już tak późno.

Willow popatrzyła na Marinę.

- Podejrzewam, że znowu swawoliła z Ryanem.

- O, tak.

Julie wygładziła sukienkę.

- Wcale was nie słucham - powiedziała. - Chodźmy.

Przekonajmy się, co babcia dla nas przygotowała.

Przed drzwiami Marina westchnęła ciężko.

- Nadal spotykasz się z Kane'em, prawda? Willow się uśmiechnęła.

- Co tak oficjalnie? Jesteśmy parą.

- Wspaniale. Czyli każda kogoś ma, oprócz mnie. To smutne.

Julie poklepała Marinę po ramieniu.

- Możesz mieć Todda - powiedziała.

- Wielkie dzięki.

Wybuchnęły śmiechem. Willow nacisnęła dzwonek.

- Jest tu pokojówka? - spytała szeptem.

- W mundurku - szepnęła Julie. - Na pewno ci się spodoba.

To nie była tylko pokojówka. Dom pełen był służby. Ktoś wskazał im drogę, kto inny podał napoje. Trzecia osoba usługiwała przy posiłku.

Willow starała się skupić na posiłku i rozmowie, ale wciąż się rozglądała, zachwycona pokojem śniadaniowym.

- Jest jaśniejszy i mniej oficjalny niż jadalnia - powiedziała babcia Ruth, kiedy je tam wprowadziła.

Skoro to jest nieoficjalnie, to strach pomyśleć, co jest dalej, pomyślała Willow, patrząc na kryształowe żyrandole, grube dywany i obrazy na ścianach.

- Jak tam przygotowania do ślubu? - spytała Ruth, kiedy już usiadły przy stole.

Julie rozejrzała się, zaskoczona.

- Ach, no cóż, dobrze. Nie mamy jeszcze konkretnych planów.

- Będziecie czekać, aż urodzi się dziecko? Julie odruchowo położyła rękę na brzuchu.

- Nie. Ale miałam ostatnio dużo pracy.

- No i Ryan - droczyła się Marina. - Takie głupstwa, jak zaproszenia czy przysięgi nie mogą być bardziej interesujące niż on.

- Doskonale powiedziane. - Julie pokraśniała. Ruth odchrząknęła.

- Mam nadzieję, że nie zabrmi to zbyt wyniośle, ale byłabym zaszczycona, gdybyście rozważyli zorganizowanie uroczystości weselnej tutaj. Ogród za domem jest piękny. Jest tam dość miejsca na dwa namioty. A gdyby było potrzeba, w domu też jest dość miejsca. Na trzecim piętrze jest wielka sala balowa. Znam dekoratorów, którzy mogliby ją przystroić, jak tylko zechcecie.

Julie uśmiechnęła się do babci.

- Chciałabym porozmawiać o tym z Ryanem. Jeśli on się zgodzi, bardzo chętnie tutaj wezmę ślub.

- Cudownie. Możecie robić, co tylko zechcecie. Macie całkowicie wolną rękę. Za wyjątkiem rachunków, które pokryję ja.

- Nie - zaprotestowała Julie. - Nie musisz tego robić. Sami chcemy zapłacić za siebie.

- Jesteś moją wnuczką, a on twoim narzeczoną. Jesteśmy rodziną, kochanie. To będzie mój prezent dla was.

Marina pochyliła się do Willow.

- Myślisz, że szarpnie się na nowe samochody dla nas, samotnych sióstr? - spytała szeptem.

Willow się uśmiechnęła.

- Myślę, że wystarczyłoby tylko poprosić. Ruth spojrzała na Willow.

- Jak się ma twój młodzieniec? Kane?

- Ja... Dobrze.

Skąd ona o nim wie? - pomyślała Willow. Może Todd albo Ryan coś powiedzieli? Todd chyba wie. Na pewno widział mój samochód przed domem Kane'a.

- Interesujący mężczyzna - ciągnęła Ruth. - Niebezpieczny. A to zawsze jest ekscytujące i seksowne.

Willow omal się nie udławiła. Czy jej ponad sześćdziesięcioletnia babcia powiedziała: seksowny?

- Wiesz, że jest bardzo zamożny? - dodała Ruth. - Ma imponujący pakiet akcji.

- Skąd wiesz? - Willow zrobiła wielkie oczy.

- Od Todda. Nie podał mi dokładnych liczb, ale na pewno Kane nie pracuje dlatego, że musi.

Nieprawda, pomyślała Willow. Kane uważa, że brakuje mu jeszcze. Najwidoczniej prywatność i bezpieczeństwo są bardzo drogie.

Czy naprawdę byłby gotów to zrobić? Czy naprawdę pewnego dnia wyjedzie, całkiem sam? Zrobiło jej się smutno. Wiedziała, że nie będzie szczęśliwy. Coś w przeszłości podsunęło mu taką myśl. Tylko co? Jak go przekonać, że nie ma racji?

- Wydaje się bardzo odpowiedzialnym człowiekiem - ciągnęła Ruth. - Niezwykle wartościowym. Chociaż trochę samotnik. Będziesz musiała się temu przyjrzeć. Upewnij się najpierw, że dał ci serce, zanim zaryzykujesz swoje.

Świetna rada, pomyślała Willow. Szkoda, że o miesiąc za późno. Kane posiadał jej serce w dniu, kiedy skreśliła kostkę, a on zaopiekował się kotami.

Mógł oszukiwać cały świat, jaki to z niego dzielny, twardy żołnierz, ale ona wiedziała, że był czuły i delikatny. Był mężczyzną, którego kochała.

Julie pochyliła się ku babci.

- To tak wygląda trzymanie się z daleka? - spytała z uśmiechem.

- Och, nie. Znowu się wtrącam? - westchnęła Ruth. - Stare nawyki. Ale muszę zrobić coś jeszcze, zanim ostatecznie z nimi zerwę.

- Oczywiście. - Julie się roześmiała. - Co takiego?

- Bardzo bym chciała, żebyś się spotkała z Toddem -zwróciła się do Mariny. - Wiem, że masz powody do obaw, ale jeśli zechcesz, gotowa jestem nawet cofnąć ofertę finansową. A zatem?

Marina rozglądała się, zdezorientowana.

- Dobrze, spotkam się z nim. Ale tylko wtedy, gdy oferta pozostanie aktualna. Perspektywa bogactwa sprawia, że wszystko staje się bardziej interesujące.

- Jesteś pewna? - spytała Julie. - A jeśli ci się spodoba? Wtedy pieniądze staną na drodze. Uwierz mi, to wielka komplikacja.

- Daj spokój. Nie obraź się, babciu, ale cóż to za różnica? Wątpię, żeby był w moim typie. Spotkam się z nim, żeby ci sprawić przyjemność, ale nie rób sobie nadziei.

- Kusisz los - mruknęła Willow.

- Zaryzykuję - powiedziała Marina. - Jaka jest szansa, że Todd Aston III jest właśnie tym jedynym?

- Niestety, ona ma rację - przyznała Ruth. - Ale wciąż żywe są moje babcine marzenia. Chodzi przecież o rodzinę, prawda? A skoro o rodzinie mowa, w najbliższy weekend mam się spotkać z waszym ojcem. Już nie mogę się doczekać.

- My też - powiedziała Marina.

Julie była wyraźnie rozdrażniona. A Willow się zastanawiała, co tym razem od niego usłyszy.

Kiedy już się pożegnały z babcią i szły do samochodów, Marina spytała Julie:

- Naprawdę byłabyś gotowa wziąć ślub tutaj?

- Oczywiście. - Twarz Julie pojaśniała. - Ryan uwielbia Ruth, więc na pewno będzie szczęśliwy. Jestem też pewna, że Ruth zna najlepsze w okolicy firmy organizujące przyjęcia. Wszystko będzie więc znacznie łatwiejsze. Nie zamierzam pozwolić, żeby zapłaciła za wszystko. Ale z drugiej strony to wspaniały pomysł. Nie uważasz?

- Owszem - przyznała Marina. - Dom jest wspaniały. A jeśli jeszcze ma to sprawić przyjemność babci, to czemu nie?

- Willow? - spytała Julie.

- Mnie też się podoba ten pomysł. Wyobrażam sobie, jakie wspaniałe będą zdjęcia. Poza tym w ten sposób zbliżymy się z Ruth. Będziecie miały wspaniały start.

- I wszystko wybaczone - powiedziała Julie.

- Skoro o wybaczeniu mowa - zaczęła Marina. - Jak przyjąłś wiadomość o przyjeździe taty?

Julie wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. Porozmawiałam o tym z Ryanem i trochę mi ulżyło. Mama go kocha. Mogę nie rozumieć jej uczuć, ale chcę je szanować. Jest jej mężem i naszym ojcem i w jakiś niezrozumiały sposób jest jednak członkiem naszej rodziny.

- Od kiedy tak szanujesz cudze uczucia? - rzuciła Marina.

Julie z sykiem wciągnęła powietrze.

- Staram się, jak mogę - warknęła. - W głębi duszy wciąż jestem na niego wściekła za to, co robił mamie przez ostatnich dwadzieścia lat. I na nią za to, że mu to zawsze wybaczała. Ale to jej decyzja. Nie moja. Kocham ją i przyjmuję do wiadomości, że on jest moim ojcem.

Życie nauczyło mnie jednego. Kto oczekuje zbyt wiele, często się rozczarowuje.

- Ja się nie mogę go doczekać - powiedziała Marina.

- Zawsze byłaś jego ulubienicą - zauważyła Julie.

- Nie byłam ulubienicą. Ale się dogadywaliśmy. Zgadzam się, że byłoby lepiej, gdyby był inny. Ale nie jest. Akceptuję go takim, jaki jest, i cieszę się, kiedy jest z nami.

- Jesteś lepsza, niż ja będę kiedykolwiek - przyznała Julie. - Muszę lecieć. Jestem umówiona z Ryanem. - Pomachała ręką i wsiadła do auta.

- A ty na pewno spieszysz się do Kane'a? - spytała Marina Willow.

- Bardzo.

- No... Obie moje siostry zaangażowały się na serio. Wygląda na to, że i ja powinnam znaleźć sobie chłopaka.

- Masz Todda.

- Masz rację. - Marina parsknęła śmiechem. - Marzę o tym, żeby nasza randka nigdy nie doszła do skutku. Do zobaczenia u mamy.

- Przyjadę. Marina odjechała.

Willow wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Kiedy wreszcie została sama, mogła przestać udawać, że się cieszy powrotem ojca. Największym jej sekretem było to,

że zawsze się bała jego powrotów. Bo jakkolwiek by się nie starała, czegokolwiek by nie zrobiła, zawsze dostrzegał tylko jej wady i niedociągnięcia.

Kiedy była dzieckiem, ze wszystkich sił się starała zasłużyć na uznanie ojca. Każda próba kończyła się jednak fiaskiem, więc w końcu ich zaniechała. Ale ból pozostał.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Willow usiadła wygodniej w fotelu mercedesa Kane'a. Skórzana tapicerka i wnętrze przypominające kokpit samolotu w zwykłych okolicznościach wprawiłyby ją w zakłopotanie. Lecz tego dnia było inaczej. Bała się, aż ścisnęło ją w żołądku.

- Nic nie mówisz. - Kane zerknął na nią znad kierownicy. - Przekonałem się już nie raz, że to nie zawsze dobry znak.

- Wszystko w porządku. No, prawie. Nie, okropnie. To wielki błąd. Dlaczego to robimy? Nie powinniśmy. Powinnam była odmówić, powiedzieć, że jesteśmy zajęci... Albo przynajmniej, że ty jesteś zajęty. Zaproszenie ciebie to pomyłka.

Przygryzła wargę i westchnęła.

- Nie zrozum mnie źle - powiedziała.

- Ależ skąd. Cały dygocę od takiego komplementu. Uśmiechnęła się.

- Ty nigdy nie dygoczesz.

- Tego nie możesz wiedzieć.

- Gdybym miała dużo pieniędzy, postawiłabym wszystkie.

Mniejsza z tym. Chodziło mi nie o ciebie, tylko o mnie. Jestem zdenerwowana. Poza tym ty nie lubisz takich rodzinnych imprez. Czemu się zgodziłeś?

- Bo poprosiłaś. I wyglądało na to, że to dla ciebie ważne. W innych okolicznościach jego słowa poruszyłyby ją do głębi. Ale nie tego dnia. Przerazenie w jej sercu zabijało wszystkie inne uczucia.

- To mój tata - przyznała. - Wrócił. I chociaż to wspomniała informacja, jestem trochę... zażenowana.

- Bywa tak z rodzicami.

- Pamiętasz swoich? Wzruszył ramionami.

- Ojca nie. Nigdy go nie znałem. Nie jestem pewien, czy mama wiedziała, kto nim był. Ją pamiętam bardzo słabo. Tylko kilka pojedynczych obrazów. Zwykle była naćpana albo w ogóle jej nie było. Umarła, kiedy miałem osiem lat.

Czy to możliwe, żeby mówił to tak spokojnie?

- A gdzie była pomoc społeczna? - spytała. - Dlaczego nikt się tobą nie zajął?

- Myślę, że nawet o mnie nie wiedzieli. Kiedy mama umarła, zamieszkałem na ulicy. Już wcześniej byłem kimś w rodzaju maskotki kilku członków gangu. Tym łatwiej zaakceptowali mnie i pozostali. Poza tym byłem bardzo przydatny. Robiłem sprawunki... Dostarczałem narkotyki, odbierałem pieniądze.

Równie dobrze mógłby mówić o życiu na Saturnie.

- Nie chodziłeś do szkoły?

- Po podstawówce już nie.

- A co z obowiązkiem szkolnym?

- Uzupełniłem w wojsku. Kiedy się znalazłem na wstępnym przeszkoleniu, zrozumiałem, że nie wiem nic. I zacząłem czytać. W każdej wolnej chwili, Jestem samoukiem.

Niewiarygodne, pomyślała.

Zapraǳnęła opowiedzieć mu o swoich lękach. Żeby wziął ją w ramiona i powiedział, że nie ma się czego bać. Ale tak naprawdę marzyła o tym, żeby powiedział, że ją kocha.

Poczuła pieczenie pod powiekami. Głęboko nabrała powietrza i szybko zmieniła temat.

- Kocięta są już naprawdę duże - powiedziała. - Będą potrzebowały większego pudełka.

- Przyniosę w przyszłym tygodniu.

Starala się myśleć tylko o kotach. O Jaśminie i jej młodych. To było znacznie bezpieczniejsze. I jeszcze o tym, jak Kane dotykał jej ostatniej nocy.

Uspokoila się. Supeł w jej żołądku trochę się poluzował. Do chwili gdy się znaleźli na podjeździe przed domem jej mamy.

- Jesteśmy - szepnęła.

Weszli do domu. Wszyscy już byli i głośno wykrzykiwali słowa powitania. Ojciec stał w środku grupy. Jak zawsze.

Wyglądał też jak zawsze. Przystojny wciąż blondyn, z ciemną opalenizną i niebieskimi oczami, w których migotały wesołe ogniki.

- Ty pewnie jesteś Kane - powiedział Jack Nelson z pogodnym, uśmiechem. - Wiele o tobie słyzałem.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

- Jak tam moja Willow? - spytał Jack.

- Dobrze, tato.

Objął ją serdecznie. Wiedziała, że razy nadejdą wkrótce. Cofnęła się o krok, ale ojciec ją zatrzymał. -Tak powinno być - powiedział. - Znów z moimi dziewczynkami.

Willow uwolniła się z jego objęć i podeszła do mamy.

- Jak się masz? - spytała. Chociaż wyraźnie widziała szczęście w jej oczach.

- Cudownie - odparła mama. - Wspaniale mieć go znów w domu.

Willow pokiwała głową. Zauważyła, że Kane rozmawiał z Ryanem. Julie stała ze swoim narzeczonym i trzymała go za rękę. Jakby chciała go zatrzymać na zawsze.

- Chciałbym się upewnić, że dobrze zrozumiałem - powiedział Jack do Kane'a. - Pracujesz dla Ryana, tak?

Kane przytaknął skinieniem głowy.

- Odpowiadam za ochronę wszystkich firm Ryana i Todda.

- Ryan powiedział, że jesteś najlepszy.

- Znam się na tym, co robię.

- Imponujące. - Jack poklepał Kane'a po plecach. - Dobrze.

Dobrze. Przynajmniej nie jesteś taki jak inne niedołęgi Willow.

- Tato - wtrąciła szybko Marina i wzięła ojca za rękę. -Chodźmy do salonu. Zaraz zacznie się mecz.

Willow ciepło pomyślała o siostrze, która przyszła jej z pomocą, ale wolałaby, żeby to nie było konieczne. Czowała, że jej policzki płoną. I znów miała twardą kulę zamiast żołądka.

Ojciec pozwolił się poprowadzić. Ale w drzwiach zatrzymał się i popatrzył na Kane'a.

- Cieszę mnie postępy Willow - powiedział. - Martwiłem się o nią. Nigdy nie była taka bystra czy ładna jak jej siostry. Zastanawiałem się, czy w ogóle ktoś ją będzie chciał. Cieszę się, że byłem w błędzie.

Willow poczuła się, jakby została uderzona kijem baseballowym. Policzki zapłonęły jej ze wstydu.

Nie wiedziała co zrobić, więc uciekła do kuchni i zaczęła kroić chleb. Może nie był potrzebny, ale musiała się czymś zająć. Lecz po chwili odrzuciła nóż i się rozplakała.

W tym momencie do kuchni weszły jej siostry.

- To palant - rzuciła Julie i przytuliła Willow. - Za to go nienawidzę.

- Nie jest najwrażliwszym z ludzi - dodała Marina i przytuliła je obie. - Tak mi przykro, Willow.

Serdeczność sióstr przyniosła jej odrobinę ulgi. Ale wstyd i poniżenie jej nie opuszczały. Co sobie pomyślał Kane?

- Nie powinnam była go tu zabierać - wyszeptała. - Nie powinnam była.

Siostry nie odpowiedziały. Odsunęły się, a Willow znalazła się w uścisku mocnych ramion.

Nie potrzebowała otwierać oczu, żeby go rozpoznać. Kane. A ona była tak zażenowana, że bała się spojrzeć mu w twarz.

- Przepraszam - powiedziała. Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. To, co tam zobaczyła, ogrzało jej duszę.

- Nie wybiera się rodziców - powiedział.

- Wiem. Zawsze był taki. Chcesz wyjść? Mogę wrócić do domu z Mariną.

Otarł jej łzy z policzków. I pocałował ją. Mocno, z pasją. Z żarem i pożądaniem. Kiedy wreszcie uniósł głowę, nie bała się niczego.

- Pragnę cię - szepnął jej do ducha. - Chcę cię naga. Chcę się z tobą kochać, aż oboje padniemy z wyczerpania.

Chcę z tobą rozmawiać. Być z tobą. Z tobą, Willow, Wiesz, co myślę o bliskich związkach. Ale jestem tutaj. Z tobą. Poznałem wiele kobiet, ale ty jesteś wyjątkowa. Namiętna i piękna, uparta i serdeczna. Zachwycająca. Uspokoila się. Jej oczy wyschły.

Kochała Kane'a. Miała te słowa na końcu języka, ale... Nie odważyła się. Byłoby nie w porządku, gdyby za słowa pociechy odpłaciła mu tak przerażającą deklaracją.

Ale już niedługo, pomyślała. Niedługo.

Kane z każdą chwilą czuł się coraz bardziej skrepowany atmosferą panującą w rodzinie Nelsonów. Julie trzymała się kurczowo Ryana, jakby był ostatnim bezpiecznym punktem. Willow robiła dobrą minę do złej gry ale w jej wielkich oczach widać było cierpienie. Tylko Marina dobrze się czuła w towarzystwie ojca. A matka, rozemocjonowana, biegała z kąta w kąt.

Kolejny raz Kane skarcił się w myślach za to, że zgodził się tu przyjechać. Ale nie potrafił odmówić Willow.

- Kane! - odezwał się Jack jowialnie. - Chodź ze mną do mojego gabinetu.

Kane wolałby raczej wskoczyć do rzeki pełnej piranii, ale kiwnął tylko głową i poszedł za gospodarzem. Jack zamknął za nimi drzwi.

- Kocham moje kobiety. - Jack uśmiechnął się. - Ale czasem mężczyzna potrzebuje wyrwać się na trochę. Wiesz, co mam na myśli?

Kane usiadł w skórzanym fotelu i przyjął szklaneczkę whisky.

Jack usiadł naprzeciw niego i uniósł szklanę.

- Za moje kobiety. Niechaj zawsze witają mnie w domu. Kane nie przyłączył się do toastu. Jack westchnął.

- Cudowne życie - powiedział. - Kocham ten dom. Zawsze jestem szczęśliwy, kiedy tu wracam. Naomi to wspaniała kobieta. Ciepła i serdeczna. Rozumie mnie. A dziewczęta są wyjątkowe. Oczywiście, chciałbym mieć syna. Ale może i lepiej, że jest tak, jak jest.

Kane wolno sączył alkohol. Bardzo dobra, stara szkocka. Dobrze wiedział, ile kosztuje butelka, i wiedział, że dla budżetu Naomi było to wielkie obciążenie.

- Tak jest lepiej - powiedział Kane. - Te pana wyjazdy na długie miesiące mogłyby być problemem. Syn powinien wzrastać przy ojcu.

- To nie jest tak.

- Jest dokładnie tak. Jack wzruszył ramionami.

- Opowiedz mi o swojej pracy. Lubisz pracować dla Ryana? Przedtem służyłeś w wojsku? Nie nudzi cię taka praca?

- Byłem w siłach specjalnych. - Kane odstawił szklanę na stół. - Prawie dziewięć lat. Specjalizowałem się w tajnych

zabójstwach. Wpaść, zrobić swoje i zniknąć, zanim się ktokolwiek zorientuje. Byłem w tym dobry.

Jack przełknął głośno ślinę.

- Wspaniale. Wspaniale.

- Potem zacząłem pracować jako prywatny ochroniarz. Tak to nazywają. Byłem po prostu najemnikiem. Zdołałem przeżyć w najbardziej niebezpiecznych miejscach na ziemi. W takiej pracy można nieźle zarobić.

- Wyobrażam sobie. - Jack poprawił się na krześle. -Gdybym kiedykolwiek szukał pracy...

Kane wstał i z góry popatrzył na starszego pana.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi, Jack. I nigdy nie będziemy. Nie lubię cię i nie szanuję, ale jesteś ojcem Willow i tego zmienić nie dam rady. Jesteś dupkiem. Masz żonę, która cię uwielbia, córki, które za tobą przepadają, i masz to wszystko gdzieś. Wolisz się bawić, znikać na długo. Oczywiście za każdym razem przyjmują cię z powrotem, bo są rozsądne i odpowiedzialne.

Podszedł do drzwi. W progu odwrócił się do gospodarza.

- Gdybyś trafił na mnie, już dawno kopnąłbym cię w tyłek. Dorośnij. Bądź mężczyzną. Może nawet to polubisz. Ale cokolwiek postanowisz, nie waż się nigdy więcej sprawić, że Willow będzie przez ciebie płakać. Jeśli tak się zdarzy, dorwę cię i obedrę ze skóry. Jasne?

Jack energicznie pokiwał głową, a Kane wyszedł. Zatrzymał się dopiero za domem i oddychał głęboko. Ale jego samotność nie trwała długo. Tylne drzwi się otworzyły i stanęła w nich Naomi.

- Wiem, że przeszkadzam - powiedziała. - Ale nie zabiorę ci dużo czasu. Słyszałam, co powiedziałeś Jackowi.

Kane zamarł. Wspaniale, pomyślał.

- Oczekujesz przeprosin?

- Ani trochę - odparła z uśmiechem. - Byłam pod wrażeniem.

Wiem, że Jack był przerażony. Kocham go, ale nie jestem ślepa. Może tobie uda się go zmienić... Chociaż wątpię.

- Mogłabyś przestać go witać tak gorąco.

- Być może, ale nie przestałam. Wolę mieć go od czasu do czasu niż wcale. Taka już jestem. Ale nie o mnie chodzi. Chciałam ci podziękować, że ująłeś się za Willow. Od lat robiłam mu wymówki, ale on nigdy mnie nie słuchał.

- Dlaczego ona? - spytał Kane. - Czemu nie Julie albo Marina?

Naomi westchnęła ciężko.

- Kiedy była mała, Willow miała trochę problemów z nauką. Nic poważnego, ale przez pewien czas nauka była dla niej za trudna. Lekarze twierdzili, że jej mózg rozwijał się inaczej. Potem wszystko samo wróciło do normy, jednak Jack nie mógł zapomnieć tamtych lat. Ale dlaczego uważa, że Willow nie jest tak ładna jak siostry, nie wiem.

- Nie jest - powiedział Kane. - Jest może nawet ładniejsza.

Naomi znowu się uśmiechnęła.

- Chyba nie jesteś obiektywny. Wzruszył ramionami.

- Myślę, że Jack dostrzegął w niej wiele z siebie samego - ciągnęła Naomi. - Zawsze była marzycielką. Przynajmniej kiedyś. Ostatnio chyba odnalazła się w życiu. Uwielbia swoją nową pracę.

- Tak myślę. - Przed oczami stanął mu las roślin z wolna wypełniający jego dom.

- Zawsze się martwiłam o Willow z powodu chłopców, jakimi się otaczała. Każdy z nich bardziej potrzebował psychoanalityka niż dziewczyny. Ale widzę, że w końcu znalazła swego mężczyznę. - Naomi dotknęła jego ramienia. - Jesteś wszystkim, czego mogłabym sobie dla niej życzyć. Dziękuję.

Odeszła do domu.

Kane stał na ganku. Niewidzącym wzrokiem patrzył na podwórze. Dzwonki alarmowe w jego głowie dzwoniły przeraźliwie. Sytuacja była krytycznie niebezpieczna. I pogarszała się z każdą chwilą.

Kane leżał na plecach i przytulał Willow.

- Musiałeś mieć dość każdej minuty - powiedziała.

- Nie było tak źle. - Pogłaskał ją po głowie.

- Początek był koszmar. Opowiedziałam tacie o mojej nowej pracy. Bardzo mu się spodobała. Obawiałam się najgorszego, ale był bardzo miły. Może łagodnieje na stare lata?

Tyle było szczęścia i nadziei w jej głosie, że nie miał odwagi jej powiedzieć o prawdziwych przyczynach zmiany Jacka.

- Obiad był pyszny - dodała.

Kane słuchał jej słodkiego głosu i pragnął, by takie chwile mogły trwać wiecznie. Pragnął jej.

Wsparała się na łokciu i przyjrzała mu się uważnie. Jej długie włosy spływały na krągłe piersi.

- Chcę ci coś powiedzieć - zaczęła. - Powiem to, a ty mnie obejmiesz. Potem zgasimy światło i uśniemy. Nie wolno ci nic powiedzieć. Absolutnie nic. Zgoda?

Ciekawość i pożądanie szarpały go na boki. Powoli skinął głową.

Nabrała powietrza i uśmiechnęła się.

- Kocham cię. Potrzebowałam trochę czasu, ale w końcu to powiedziałam. Kocham cię.

Wtuliła głowę w jego ramię i zamknęła oczy.

- Dobranoc, Kane.

- Dobranoc.

Wyłączył lampkę i opadł na poduszkę. Kochała go! Nieważne, czy jej wierzył. Ona w to wierzyła. I to wystarczało. Jak mógł do tego dopuścić?

Co za głupie pytanie, skarcił się w myślach. Wpuścił ją do swego domu. A teraz ona miała nadzieję i oczekiwania, których nie mógł spełnić. Nie chciał jej miłości.

Wiedział, że to, co powiedziała, uważała za wielki dar. Ale dla niego to było jak potrzask. Miał wrażenie, że żelazne zęby chwyciły go w pól. Nie miał wyjścia. Albo ona, albo ja, pomyślał. Kogoś musiał poświęcić.

Mógł udawać, że się zastanawia, ale od początku wiedział, co
zrobi. I wiedział, że gdy to uczyni, zniszczy ją.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego ranka Kane szykował się do pracy, a Willow robiła kawę. Była szczęśliwa i pełna obaw zarazem. Była z siebie dumna, że zdobyła się na odwagę i powiedziała mu o swoich uczuciach, ale wciąż czuła niepokój. Co powie Kane?

Wlała kawę do termosu i zniosła mu. Był taki przystojny w garniturze.

- Dzień dobry. - Pocałował ją w usta i wziął termos. - Mam spotkanie o pół do ósmej. Muszę się spieszyć.

- Dobrze. Ja nakarmię Jaśminę.

- Świetnie. - Znowu ją pocałował. Chwyliła go za kłapy i zajrzała głęboko w oczy.

- To, co powiedziałam w nocy - zaczęła niepewnie. - Co ty na to?

- Zawsze idziesz za głosem serca, Willow. Nie potrafię tego zmienić.

I wyszedł. Dopiero kiedy samochód zniknął za zakrętem, uświadomiła sobie, że nie odpowiedział na jej pytanie.

Strzelnica mieściła się w starym, przerobionym magazynie. Korzystali z niej tylko ci, których było na to stać. Kane przyłożył swoją kartę magnetyczną do czytnika i wszedł do środka. Załadował pistolet, założył ochraniacze na uszy i poszedł na stanowisko.

Ale nie mógł się skupić. Zamiast sylwetki na tarczy wciąż miał przed oczyma postać Willow. Słyszał jej śmiech, czuł pod palcami krągłość jej bioder. I ciepło skóry na jej piersiach.

Opuścił pistolet i starał się skoncentrować. Przyjeżdżał do klubu kilka razy w miesiącu, żeby nie wyjść z wprawy. Lubił to i zawsze sprawiało mu to przyjemność. Ale nie tego dnia.

Oddychał głęboko, miarowo. Starał się wyrzucić Willow ze swych myśli. Po chwili uniósł pistolet i wypalił sześć razy. Za jego plecami stanął George, kierownik strzelnicy.

- Cześć, Kane. Dawno cię nie widziałem.

- Wiem. Byłem trochę zajęty. George popatrzył w dal, na tarczę.

- Czyżbyś chybił?

Kane nacisnął guzik i tarcza podjechała ku niemu. Zaklął. Jeden pocisk wylądował zupełnie poza sylwetką.

- Zwykle ci się to nie zdarza - powiedział George. - Myślę, że teraz częściej będziesz nas odwiedzał.

Kane pokiwał głową i George odszedł.

Tarcza zatrzepotała i odjechała na swoje miejsce. Kane popatrzył na pistolet. Z przerażeniem pomyślał, że tracił kontrolę nad sobą. Nie mógł do tego dopuścić.

Nie musiał pytać, co się stało. Doskonale wiedział, co zmieniło jego życie. A raczej kto.

Kochała go. Powiedziała to z takim przekonaniem, że nie mógł wątpić.

Ona sama była miłością. Była ciepła, czuła i niecierpliwa. I była dość silna, by mieć wiarę... Jemu nigdy nie wystarczyło na to odwagi.

Nie mógł dać jej tego, czego chciała. Oczekiwała, że ją pokocha. Na zawsze. Na samą myśl zadrżał. Z tęsknoty i przerażenia.

Czyżby aż tak się dał oczarować? Naprawdę sądził, że może ot, tak złączyć się z kimś i przetrwać? Tyle razy stawał oko w oko ze śmiercią i niczego go to nie nauczyło?

Uspokoił oddech, stanął twarzą do tarczy i zaczął strzelać. Tym razem wszystkie pociski trafiły w obszar nie większy niż moneta. Tam, gdzie powinno być serce. Spokój wypełnił mu duszę. Wiedział, co było źle i jak to naprawić.

Na tym świecie mogą przeżyć tylko najsilniejsi. Postanowił być tym, który przetrwa najdłużej.

Willow przyjechała do Kane'a z kolejną rośliną. Tym razem była to chora orchidea. Beverly powiedziała, że nie da jej się już uratować, ale Willow postanowiła spróbować. W domu przywitały ją podekscytowane kocięta.

- Wyszłyście z pudełka - powiedziała. - No, no. Ale już urosłyście.

Szary kocurek zaczął się wspinać po jej nodze. Wyraźnie poczuła ostre pazurki.

- Ale z ciebie dzikus. - Pogłaskała malca. Wzięła go na ręce. - Wszystkie jesteście urocze. Chciałabym zatrzymać was wszystkie.

Wiedziała, że to niemożliwe. Nie w jej mieszkaniu. Ale gdyby zmieniła miejsce zamieszkania...

Położyła się na podłodze i pozwoliła kociećom baraszkować dokoła. Po chwili dołączyła do nich Jaśmina.

Kto mógł przypuszczać, że tak się to wszystko potoczy? - pomyślała. Jeszcze tak niedawno miała zamiar rozerwać Todda na strzępy. A teraz zmieniło się całe jej życie. Była szczęśliwa w pracy, nieprzypadkowo zakochana i zmierzała w całkiem nowym kierunku. Życie pełne jest niespodzianek.

Usłyszała szcęk klucza. Kiedy Kane wszedł, przywitała go radosnym uśmiechem.

- Koty wzięły mnie do niewoli. Uratujesz mnie, Wielki Ochroniarzu, prawda?

Ale Kane pomału zamknął za sobą drzwi i powiedział:

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Możesz wstać? Nie uśmiechał się. Stał bez ruchu.

Kiedy wstała, wiedziała. Zobaczyła to w jego oczach. W pustym spojrzeniu. -Kane?

- To pomyłka - powiedział. - Bardzo mi przykro. Nigdy nie powinienem był pozwolić ci uwierzyć, że jest dla nas jakakolwiek szansa. Nie ma jej. I nie chcę, żeby była. Jestem sam z własnego wyboru. Nie możesz tego zmienić. Nie jestem zainteresowany tym, co mi chcesz dać, Willow. Nie chcę tego. Nie chcę ciebie.

Mówił spokojnie, cichym głosem. A każde słowo zostawiało krwawiącą ranę... Nie mogła myśleć. Nie mogła mówić. Walczyła tylko, by nie upaść.

- Ja... - zaczęła.

- Nie ma o czym mówić - uciał. - Masz dwie godziny, żeby zniknąć.

Nie czuła bólu. Wiedziała, że to bardzo zły znak. Była jak sparaliżowana. Otepiała.

- Co ci dać? - Marina wyszła z kuchni z herbatą w dłoni. - Wino? Wódkę? Kontrakt na Kane'a?

Willow parsknęła śmiechem, zaszlochała i sięgnęła po kolejną chusteczkę.

- Nie chcę, żeby umarł. Nie chcę, żeby mu się stało coś złego. Nie mogę, kocham go.

Zwinęła się w kłębek na kanapie Mariny. Wszystkie rośliny od Kane'a wciąż były w jej samochodzie. Na szczęście Marina zgodziła się przygarnąć koty, dopóki nie dorosną do adopcji.

- Nic... mi... nie... jest. - Głos Willow drżał.

- Tak. Pewnie. - Siostra usiadła przy niej i położyła rękę na jej nodze. - Widzę.

- Nie jest tak źle - upierała się Willow. - Myślę, że dopiero później mnie to walnie.

Jedno z kociąt wspięło się na kanapę i zwinęło w kulkę na jej nodze.

- To nie jego wina - ciągnęła. - Uprzedzał mnie. Bardzo dokładnie. Ale nie chciałam mu uwierzyć. Sama się pchałam, gdzie mnie nie chcieli. Po co? Dlaczego nie słuchałam?

- Zawsze słyszymy to, co chcemy usłyszeć. Willow potrząsnęła głową.

- To coś więcej. Byłam taka dumna z siebie. Nareszcie przestałam się zajmować nieudacznikami. Kane nie potrzebował pomocy. Prawdę mówiąc, to on mi pomógł najbardziej. - Pociągnęła nosem. - Zabrzmiało to jak z kiepskiego filmu, prawda?

Marina pogłaskała ją.

- Lubię smutne historie miłosne - ciągnęła Willow – ale w kinie. W realnym życiu są okropne. - Wydmuchała nos i sięgnęła po następną chusteczkę. - Myślałam, że będę miała wszystko. Czy to nie głupie?

- Nie. Nie mów tak. To nie jest głupie. Czemu nie miałybyś mieć tego wszystkiego?

Willow westchnęła. Była rozpalona, jakby miała gorączkę. Oczy ją piekły.

Była załamana. Ale najgorsze było to, że nie mogła winić za to Kane'a.

- On nie był zły - wyszeptała. - Nie można go winić.

- Spójrz na mnie. - Marina naprawdę się zirytowała. -To jest kawał drania. Jak śmiał cię tak skrzywdzić?

- Ale przecież nie zrobił nic złego. Jasno określił zasady i trzymał się ich.

- A czemuż niby to on miał ustalać zasady, a nie ty? Albo ja?

Willow uśmiechnęła się słabo.

- Nie spotykałaś się z nim. A co do mnie... Nie miałam zbyt wielu zasad.

- Zmienił wszystko, kiedy się zgodził z tobą widywać. Zostawił swój straszny świat i wszedł do świata normalnych ludzi. I od tej chwili powinien był postępować zgodnie z obowiązującymi tu zasadami. A nie postępował. Wszystko było dobrze, dopóki pewnego dnia nie oświadczył, że ma dość, i nie podał żadnego racjonalnego powodu. Tak nie wolno.

- Powiedziała mu, że go kocham. Myślę, że to go odstraszyło.

- Naprawdę? - Marina zrobiła wielkie oczy. Willow pokiwała głową.

- On jest tym jedynym. Lubiłam wielu chłopców, ale nigdy przedtem nie byłam zakochana. Dopiero Kane... Przy nim czuję się bezpieczna. - Poglaskała kota. - Wiem, że poczucie bezpieczeństwa to niewiele, ale nigdy przedtem tego nie doświadczałam.

- Wierzę - powiedziała Marina. - Nie sądziłam, że sprawy zaszły tak daleko.

- Tak było. Kocham go, a on odszedł. Znowu zaczęła płakać.

- Och! Willow! - Marina chwyciła ją w ramiona. - Coś wymyślimy. Porwę go i będziemy go trzymały o chlebie i wodzie, aż zrozumie, że ciebie potrzebuje najbardziej.

Willow niemal się roześmiała.

- Wchodzę w to, pod warunkiem że będzie nagi - powiedziała.

- Tak mi przykro - szepnęła Marina. - Tak mi przykro. Co chcesz zrobić? Może zjeść lody? Albo wrzeszczeć? Może chcesz rzucić talerzem? Może wymyślimy jakiś sposób, żeby go odzyskać?

Żeby to było możliwe.

- Nie mogę go odzyskać - powiedziała Willow. - Nie mogę sprawić, żeby chciał być ze mną. To musi być jego decyzja. A na taką się nie zanoszą.

Było już ciemno, kiedy Kane wrócił do domu. Wszedł do środka i usłyszał... Nic. Pusto.

Nie było kotów. Nie było roślin. Nie było Willow. Szedł przez puste pokoje i na każdym kroku napotykał jej ślady.

Kolorowe pisma na stoliku ułożone w kółko. Zawsze tak robiła, kiedy rozmawiała przez telefon. Lodówka pełna jedzenia. Ciasteczka w wielkim pudełku, które kupiła. I zapach jej perfum w łazience.

Na tylnych drzwiach wisiała biała koszula. Zostawiła ją, bo należała do niego. Używała jej zamiast szlafrocza. Dotknął materiału, jakby miał nadzieję poczuć jej zapach.

Ale nie poczuł. Odeszła. Tak jak chciał.

Wrócił do salonu i czekał na spokój, którym zawsze napawała go cisza. Nie doczekał się. Przebrał się i poszedł poćwiczyć. Może kiedy się zmęczy, zdoła zasnąć?

Dochodziła północ, kiedy wgramolił się do łóżka. Był wyczerpany, ale wciąż nie mógł zmrużyć oczu. Cisza przeraźliwie dźwięczała mu w uszach.

Wstał. Przyniósł koszulę, której używała, i położył obok siebie. Idiotyzm, pomyślał.

I nagle zrozumiał. Tęsknił za nią. On, który zawsze chętnie się tym, że nie tęsknił za nikim.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kane wziął klucze i neseser i ruszył do wyjścia. Nim jednak zdążył dotknąć klamki, ktoś zastukał do drzwi.

Zastygł na moment bez ruchu. Słuchał łomotania własnego serca. Wiedział, czego pragnął. Za czym tęsknił. I czego nigdy już miał nie mieć. Willow.

Ale gdy otworzył drzwi, zobaczył Todda.

- Cieszę się, że cię złapałem - powiedział szef. - Auto mi wysiadło. Możesz mnie podwieźć do biura? Samochód zastępczy przyprowadzą z warsztatu później.

Rozczarowanie zabołało Kane'a jak trafienie pociskiem karabinowym. Chciało mu się wyć. Ale przecież zasłużył na to.

- Oczywiście - odparł. - Właśnie wychodziłem.

- Świetnie. Nie widziałem samochodu Willow. Wyjechała już?

- Odeszła. Już się nie spotykamy.

- Nie wiedziałem. - Todd wysoko uniósł brwi. - Myślałem, że jesteście razem. Wszystko wyglądało tak wspaniale.

Kane otworzył samochód i wrzucił neseser na tylne siedzenie.

- Nie chcę wiedzieć, co się stało. - Todd wszedł do samochodu. - Bóg jeden wie, jak ostatnio unikam kobiet. Ruth tak mi wierciła dziurę w brzuchu, że zgodziłem się spotkać z Mariną. Sam nie wiem dlaczego.

Kane nie miał ochoty rozmawiać o Marinie. Wciąż myślał o Willow i sprawiało mu to niewiarygodny ból.

Za jej sprawą się zmienił. Kiedyś cisza i samotność były mu schronieniem. Pragnął. Teraz przyszłość spowijała czarna zasłona. Była pusta i zimna.

Co robić, myślał. Poddać się? Trwać dalej? Jak się bronić?

- Co z twoim samochodem? - spytał Todda, żeby tylko nie rozmawiać o siostrach Nelson.

- Nie jestem pewien. Nie mogłem go uruchomić. A przecież ma dopiero kilka miesięcy. Dziwne.

Pewna myśl zaświtała Kane'owi.

- Nie wydał żadnego dźwięku?

- Tylko coś jakby głuche rzeżenie. Zakreślił kilka razy i zdechł.

- Nie naraziłeś się komuś ostatnio? Todd popatrzył nań podejrzliwie.

- Myślisz, że to coś więcej niż awaria?

- Nie wiem. Masz numer telefonu do warsztatu?

- Oczywiście.

- Zadzwoń i powiedz, żeby się nie spieszyli. Że dostarczysz im samochód później. Chciałbym, żeby najpierw obejrzał auto jeden mój znajomy. Tak na wszelki wypadek.

- Nie podoba mi się to.

- Wolę dmuchać na zimne...

Coś wielkiego i szybkiego uderzyło w nich z boku z wielką siłą. Z najwyższym trudem Kane uniknął zderzenia z nadjeżdżającym z przeciwka samochodem. Kręcąc szaleńczo kierownicą, zapanował nad tańczącym po asfalcie pojazdem. Równocześnie rozglądał się

gorączkowo w poszukiwaniu napastnika, a z kabury pod pachą wyrwał pistolet.

Wtedy zobaczył. Srebrna limuzyna znowu pędziła prosto na nich. Słońce świecące w oczy sprawiało, że Kane nie widział kierowcy.

- Trzymaj się! - krzyknął i gwałtownie zahamował. Napastnik przemknął tuż obok nich. Kane wycelował.

Ale nie strzelił. Myśl szybka jak błyskawica powstrzymała go. Przeleciało mu przez głowę, że Willow nie chciałaby, by kogoś zabił.

Zaklął, wycelował ponownie. Lecz już nie musiał strzelać. Srebrne auto wbiło się w latarnię i znieruchomiło.

Kane zjechał na pobocze i zatelefonował po pomoc. Automatycznie określił miejsce wypadku i opisał sytuację. Cały czas się zastanawiał, co się z nim stało i jak mógł temu zaradzić.

Kane skończył rozmawiać z policjantami krótko po wpół do jedenastej. Jego samochód był poobijany, ale można się było nim poruszać. Zamierzał już odjechać, kiedy podszedł do niego sanitariusz.

- Potrzebuje pan pomocy? - spytał.

- Nic mi nie jest. Miałem zapięty pas.

- Dzieciak na szczęście też. Inaczej już by nie żył. Kane patrzył, jak kompletnie rozbity samochód wciągano na lawetę.

- Policjanci powiedzieli, że to był nastolatek. Że zasłabł.

Sanitariusz pokiwał głową.

- Ma siedemnaście lat. Od jego matki wiemy, że jest diabetykiem. Pewnie zapomniał o porannym zastrzyku i doznał szoku insulinowego. Kiedy w pana uderzył, był nieprzytomny. Myślę, że nawet nie wiedział, że siedzi za kierownicą. Zachował się pan jak zawodowiec. Gdyby mu pan pozwolił uderzyć się jeszcze raz, chyba by nie przeżył. Sanitariusz odszedł.

Kane stał obok auta i oddychał głęboko. Co by było, gdyby strzelił do dzieciaka? W tych okolicznościach nie postawiono by mu zarzutów. Miał pozwolenie na broń i był zawodowcem. Ale dla rodziny chłopca nie byłaby to żadna pociecha. Dla niego też nie.

Pół roku wcześniej strzeliłby bez namysłu. Teraz nie był w stanie. I wiedział dlaczego.

Tego wieczora Kane upił się w samotności.

Nigdy tego nie robił. Tym razem miał nadzieję, że w ten sposób zdoła zapomnieć o Willow. Ale chyba mu się nie udało.

Willow wielkimi oczami patrzyła na szefową.

- Beverly, to przecież dopiero miesiąc - zawołała.

- Wiem. - Beverly uśmiechnęła się szeroko. - Powinnaś tylko kiwnąć głową i podziękować.

- Dziękuję. - Willow właśnie dostała podwyżkę. I to dużą.

- Jesteś dla mnie skarbem - ciągnęła starsza pani. - Masz naturalny talent i do postępowania z roślinami, i z klientami. Dzięki twojej pomocy mogę rozwijać firmę. Nie chcę, żeby ktoś mi cię podkradł.

Willow słuchała komplementów ze zdumieniem. I czuła się coraz bardziej dumna.

- Nie chcę, żeby mnie ktoś podkradał. Bardzo mi się tu podoba. Dziękuję za podwyżkę.

- Nie ma za co.

- Wracam do moich roślinek.

- Doskonale. Już dawno nie wyglądały tak dobrze.

Willow pomachała i poszła do szklarni. Czuła się wspaniale. I gdyby nie wielka dziura w miejscu, gdzie dotąd miała serce, pewnie skakałaby z radości.

Godzinę później klęczała z rękami po łokcie zanurzonymi w nowej mieszance nawozów, z którą właśnie eksperymentowała.

- Cześć, Willow.

Obejrzała się. Zobaczyła wysokiego, przystojnego, elegancko ubranego mężczyznę.

Hm... Ciemne włosy, ciemne oczy...

- Niech zgadnę - powiedziała. - Nieszłowny Todd Aston III.

- Tak. Chciałaś mi kiedyś dać do wiwatu.

- Dlatego tu przyjechałeś?

- Nie. Ale chętnie się na to zgodzę, gdyby mogło ci to poprawić nastrój.

- Nie poprawi. Julie i Ryan biorą ślub i tylko to jest dla mnie ważne.

- Dla mnie też. Popatrzyła nań uważnie.

- Nie dziw się tak - powiedział. - Przyjaźnimy się z Ryanem przez całe życie. Zależy mi na jego szczęściu.

- Gadanie. Uśmiechnął się.

- Porozmawiamy za dziesięć lat i wtedy mi uwierzysz. Dziesięć lat? Prawda. Przecież Todd i Ryan są kuzynami. Gdy Ryan wejdzie do rodziny, ona na pewno nie raz spotka Todda. Czy to oznacza, że któregoś dnia natknie się i na Kane'a?

Poczuła bolesne ukłucie w sercu. To będzie prawdziwa tortura widywać go, ale nie być z nim.

- Co u ciebie? - spytał Todd. - Wiem o waszym zerwaniu. Czyżby dlatego ta niespodziewana wizyta? Czy to Kane go przysłał?

- Radzę sobie.

- Kane nie. Jest w okropnym stanie.

W pierwszym odruchu chciała rzucić wszystko i pędzić do niego. Ale jasno dał do zrozumienia, że sobie tego nie życzy.

Wytarła ręce o spodnie.

- Bardzo mi przykro - powiedziała - ale to nie moja sprawa.

- Nie wiem, co zaszło między wami, ale znam Kane'a od lat. To wspaniały chłopak. Bardzo starannie dobiera znajomości. - Todd zmarszczył brwi. - Jesteś pierwszą dziewczyną w jego życiu, o której wiem. Może mogłabyś dać mu jeszcze jedną szansę?

Wpatrywała się w Todda oniemiała.

- Myślisz, że to ja z nim zerwałam?

- A nie ty? Z jego zachowania wywnioskowałem, że...

- Niestety nie. To on mnie zostawił. Wyjątkowo jasno oświadczył, że nie chce mieć ze mną do czynienia. Nie pokłóciliśmy się, nie było jakiejś sprzeczki, po prostu uznał, że między nami koniec.

Mówiła z trudem, ból był tak wielki. Ale nie było powodu, by coś ukrywać.

Todd przestąpił z nogi na nogę.

- Nie wiedziałem.

- Teraz już wiesz. - Podniosła głowę. - Kocham Kane'a.

Powiedziałam mu to i myślę, że nie potrafił z tym żyć. Żałuję, że sprawy nie potoczyły się inaczej, że nie byliśmy inni. Ale tacy jesteśmy. On nie potrzebuje ode mnie drugiej szansy. Najpierw sam musi się zastanowić, czy jest zainteresowany.

- Tak mi przykro.

- Przeżyję. W mojej rodzinie kobiety są bardzo silne. Chociaż czasami, kiedy idzie o mężczyzn, dokonujemy idiotycznych wyborów.

- Jeśli jest coś, co mógłbym...

- Nie ma, ale dziękuję. - Wsparała ręce na biodrach. - Zaczekaj.

Przyjechałeś, żeby próbować naprawić sprawy między mną i Kane'em? Dlaczego?

- Już ci powiedziałem. Chciałem pomóc przyjacielowi.

- Czyli nie jesteś aż taki zły?

- Czy to jest pytanie? Mam odpowiedzieć?

- Chyba nie. Ale zaskoczyłeś mnie. W sprawie Julie i Ryana byłeś naprawdę obrzydliwy.

- Nie byłem obrzydliwy, tylko sądziłem, że Julie robi to dla pieniędzy.

- Nigdy by tak nie postąpiła.

- Teraz to wiem.

- Powinieneś był jej zaufać. Tak by zrobił każdy porządny człowiek.

- Ale nie ktoś z moją przeszłością.

- Ach, rozumiem. Będziesz karał każdą kobietę, którą spotkasz, bo miałeś trudne dzieciństwo. Wspaniale. Koniecznie muszę powiedzieć o tym Marinie.

W oczach Todda widać było równocześnie ból i przerażenie.

- Wiesz o naszej randce - powiedział.

- A, tak. Wszyscy odliczamy godziny. Uśmiechnął się krzywo.

- Ona jest bardziej podobna do ciebie czy do Julie?

- Sam będziesz musiał ocenić. Ale uważaj. Jest niezwykle inteligentna. Nie próbuj na niej tych swoich wazeliniarskich sztuczek.

- Wazeliniarskich sztuczek? - Pokraśniał z zadowolenia. -

Zapamiętam to. Zostawić wazeliniarskie sztuczki w domu.

- Wiesz, o co mi chodzi. - Nie podobał jej się jego dobry humor.

- Wiem, - Spoważniał. - Bardzo było miło cię spotkać, Willow.

Żałuję, że Kane był tak głupi, że pozwolił ci odejść. Myślę, że byłabyś dla niego idealna.

Pokiwała głową bez słowa. Może dlatego, że znów poczuła pieczenie pod powiekami. Ale dopóki Todd nie odszedł, udało jej się zapanować nad sobą. Później łzy spływały jej po policzkach. Chciała

wierzyć, że ta wizyta mogła coś oznaczać. Ale co? Przecież to nie Kane go przysłał. Na pewno. Nawet nie wiedział, że Todd się do niej wybierał.

Todd powiedział, że Kane jest w strasznym stanie. Czy jego cierpienie zmieniało cokolwiek? Czy oznaczało, że chciałby jeszcze wszystko naprawić?

Bez względu na wszystko zapragnęła pojechać do niego i przytulić. Ale nie mogła. Nie mogła zmusić do miłości człowieka, który tej miłości nie chciał.

Późnym wieczorem siedziała skulona na kanapie i usiłowała oglądać film. Była to komedia. Podobno wyjątkowo zabawna. Ale żaden z żartów jakoś jej nie rozśmieszył.

Postanowiła wyłączyć film. Wyciągnęła już rękę po pilot, gdy usłyszała dziwny odgłos z zewnątrz. Jakby skrobanie. Albo popiskiwanie. Albo jedno i drugie.

Zaczęła nasłuchiwać. Znowu.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Czarny, kudłaty, śliczny szczeniak popatrzył na nią i zaskomlił.

Kucnęła. Szczeniak wskoczył jej na ramiona i zaczął lizać po twarzy.

- Kim ty jesteś? - zawołała. Śmiejąc się głośno, opędzała się od mokrych pieszczot. - Skąd się tu wzięłeś? Zgubiłeś się?

- To nie on się zgubił. - Kane wyszedł z cienia.

Jej serce zamarło. Krtań się jej zacisnęła. W tym momencie psiak pchnął ją mocniej i przewrócił na plecy.

- Wystarczy. - Kane wziął psa pod pachę. Drugą rękę podał Willow. - Jest trochę psotny.

- Widzę.

- Mogę wejść? Będzie grzeczny. Po drodze wykorzystał kilka krzaków róż w twoim ogródku, więc twój dywan powinien być bezpieczny.

Jedyny mężczyzna, którego kochała. Którego odrzucił ją bez skrępow. On się zastanawiał, czy pies nasika jej na dywan?

Cofnęła się i wpuściła obu do mieszkania. Szczeniak natychmiast podbiegł i zaczął lizać jej białe stopy. Klękła i przytuliła zwierzę.

- Ma jakieś imię? - spytała. Rozmawianie o psie wydało jej się najbezpieczniejsze.

- Jeszcze nie. Pomyślałem, że sama będziesz chciała jakieś wymyślić. - Kane kucnął obok niej. - Jest twój. Kupiłem go dla ciebie. Ale mieszkał już ze mną jakiś czas, więc jeśli go zechcesz, będziesz musiała wrócić do mnie.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Chcesz, żebym wróciła? - wykrztusiła.

- Chcę? - Pokręcił głową. - Chcę, to za mało powiedziane, Willow. Myślałem, że dobrze wiem, czego chcę. Samotności. Mojego idealnego świata. Wszystko sobie zaplanowałem. Byłem taki ostrożny... Nigdy się z nikim nie związałem. Nikt nie przedostał się do moich uczuć... Aż zjawiłaś się ty.

Malutka nadzieja zaczęła szeptać ciepłe słowa w duszy Willow.

- Myślałem, że chcę żyć na wyspie, gdzieś na końcu świata. Myślałem, że mam wszystko, czego chciałem. Wszystko się zmieniło. Chcę wrzawy i zamieszania, rozmów i śmiechu. Świec i roślin, jedzenia i bałaganu w każdym kącie.

- Wcale tak nie bałaganie.

Uśmiechnął się i pogłaskał ją po policzku. Piesek polizał ich oboje.

- Przepraszam. Żałuję tego, co powiedziałem, i tego, jak to zrobiłem. Cierpienie w twoich oczach prześladowa mnie nieustannie. Tęsknię za tobą. Aż do bólu. Pragnę cię. Zmieniłaś mnie. Stałem się zupełnie innym człowiekiem. Chwilę trwało, zanim zrozumiałem to wszystko. Nigdy wcześniej nie byłem zakochany, dlatego nie umiałem rozpoznać objawów.

Zakochany? Zakochany!

Wypuściła szczeniaka i wyciągnęła ręce do Kane'a.

- Chcesz powiedzieć...

- Kocham cię. - Zamknął ją w potężnym uścisku. - Kocham cię. Na zawsze. W zdrowiu i w chorobie. Z dziećmi, domami i wszystkim, co się zdarzy. Jeśli tylko potrafisz mi wybaczyć. Jeśli wciąż mnie kochasz.

Odsunęła się i zajrzała mu w oczy.

- Co? Myślałeś, że mogłabym tak, po prostu, przestać cię kochać?

- Zraniłem cię. Byłem okrutny. Nie mogę tego wytłumaczyć. Mogę tylko obiecać, że to się już nigdy nie powtórzy.

Wypowiedzenie tych słów musiało być dla niego naprawdę trudne. Uwierzyła mu. Że będzie ją kochał na zawsze. Że będzie z nią, dziećmi i zwierzętami, cokolwiek ich spotka.

- Kocham cię - powiedziała.

- Wyjdiesz za mnie?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Zatrzymamy Jaśminę?

- Oczywiście.

- I przynajmniej jedno z kociąt? Westchnął.

- To także twoje życie. Sama zdecyduj.

- I myślę, że psu spodoba się imię Bobo. Ma wielkie łapy. Sądzę, że wyrośnie na potężne psisko.

Kane zacisnął powieki i jęknął cicho.

- Nie nazwiemy psa Bobo.

- Ciasteczko?

- To jest chłopak, Willow. Czy możesz oszczędzić mu resztek godności? Może Czarny?

- Ależ oryginalne. Myślę, że pasuje do niego imię Stan. Tym razem Kane jęknął głośnie.

Willow skrzyżowała ramiona.

- Będziemy potrzebowali większego domu. Kocham Todda, ale czy musimy mieszkać tak blisko?

- Wyprowadzimy się. Od kiedy tak go kochasz?

- To miłość rodzinna. Nie martw się. On nie jest groźny.

- Dobrze wiedzieć. Kupimy dom na osobnej parceli.

- Z podwórkiem - powiedziała. - I z ogrodem.

- O, tak! Z wielkim ogrodem. No i z wielką sypialnią, bo będziemy spędzać tam sporo czasu.

- Podoba mi się to. - Patrzył jej prosto w oczy. - Kocham cię, Willow. Zmieniłaś całe moje życie.

- Uratowałam cię. - Uśmiechnęła się. - Chociaż już się tym nie zajmuję. Świat będzie musiał sobie poradzić bez moich zdolności.

Oprócz roślin i zwierząt. Będziemy mieli dzieci, prawda?

- Oczywiście. - Zaczął rozpinać jej guziki.

- Ile tylko będę chciała?

- To ty będziesz je nosić. - Zdjął z niej bluzkę. Zerknęła przez ramię. Stan leżał zwinięty na kanapie.

- Będziemy musieli być bardzo cicho - szepnęła. Kane wstał, wziął ją za ręce i poprowadził na korytarz.

- Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli wyjdziemy z pokoju.

- Niezły sposób.